



ALISON ROBERTS



W samą porę

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przenikliwy pisk pagera wyrwał Jacka z zadumy. Niestłuchane, pomyślał, parkując samochód przed szpitalem Ashburton General na miejscu wydzielonym dla chirurga, po czym spojrzął na hałaśliwe urządzenie i pokręcił głową.

Zdziwienie Jacka Armstronga nie wynikało ani z faktu, że zasięg pagera obejmował przyszpitalny parking, ani z tego, że była za kwadrans ósma, więc dopiero za piętnaście minut zaczynał dyżur. Po prostu wciąż nie posiadał się ze zdumienia, że do tego prowincjonalnego szpitalika dotarły pewne osiągnięcia współczesnej techniki.

Cóż, widać wszystko jest tu na wyrost, skonstatował. Nawet nazwa - Ashburton General - brzmi zbyt szumnie jak na ten stary, drewniany budynek, którego liczne podcienie i mansardy oraz zadaszona weranda, przez którą prowadzi droga do głównego wejścia, przywodzą na myśl raczej wiekową willę niż placówkę służby zdrowia. Po diabła im tu pagery, skoro wystarczyłoby wychylić się przez okno i zawołać?

Udał, że nie widzi pracującego w ogrodzie starszego mężczyzny, który uśmiechnął się i pomachał mu dłonią na powitanie. Nie miał w tej chwili ochoty na pogawędki. To jakiś absurd. Od początku zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd, przyjmując propozycję zatrudnienia.

Kevin Farrow, dyrektor administracyjny szpitala, był młody i pełen entuzjazmu. Zachowywał się tak, jakby kierowanie jedynym centrum opieki medycznej w tej zapadłej dziurze stanowiło ukoronowanie jego kariery. Wyglądał mniej więcej na trzydziestkę, czyli był o kilka lat młodszy od Jacka, który nie omieszkał dać mu do zrozumienia, że przyjmując propozycję współpracy, czyni mu nie byle jaką uprzejmość. Mimo to Kevin był zachwycony.

- To naprawdę niesamowity łut szczęścia. Jesteś nie tylko chirurgiem, ale w dodatku doświadczonym położnikiem. Po prostu spadłeś nam z nieba.

- Niedługo wracam do Londynu - sucho zauważył Jack.

- Przez te trzy miesiące na pewno uda nam się znaleźć kogoś na stałe.

- Doprawdy?

Kevin roześmiał się, próbując ukryć zmieszanie, w jakie wprawił go pełen powątpiewania ton Jacka.

- Może oprowadzę cię teraz po szpitalu i przedstawię pracownikom - zaproponował. - Nie zajmie nam to wiele czasu.

- Zapewne - nie oszczędził sobie uszczypliwej uwagi - ale zmuszony jestem odmówić. I tak pewnie wszyscy się zbiegną, jak tylko pojawię się jutro na dyżurze.

- Oczywiście, rozumiem. Sprawy rodzinne. Poza tym pewnie dokucza ci jeszcze zmiana czasu.

Nie zamierzał zaprzeczać, choć akurat zmęczenie spowodowane podróżą stanowiło

najmniejsze z jego zmartwień. Doszedł już na tyle do siebie, by zdać sobie sprawę, że jeśli nie znajdzie jakiegoś zajęcia, to zwariuje, siedząc w towarzystwie ojca w mrocznym domu przywodzącym na myśl rodzinny grobowiec. Gdy w rubryce ogłoszeń lokalnej gazety przeczytał, że miejscowy szpital poszukuje na jakiś czas chirurga, uznał, że nic lepszego nie mogło mu się przytrafić. Teraz jednak zaczynał żałować tej pochopnej decyzji.

Dwoma długimi krokami pokonał schody prowadzące na werandę i zatrzymał się przed głównymi drzwiami. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że nie otwierają się automatycznie. Z irytacją popchnął szklane skrzydło, wkroczył do środka - i natychmiast poczuł się jak w pułapce.

Wszystko wskazuje na to, że przez ten szpital pobyt w Nowej Zelandii wyjdzie mu bokiem. A znając swojego pecha, Jack nie miał wątpliwości, że nie wydarzy się nic, dzięki czemu mógłby wyjechać przed końcem trzymiesięcznego urlopu, który zdołał uzyskać w tych szczególnych okolicznościach.

Ojciec, z właściwą sobie przekorą, zapewne nie raczy wcześniej odejść z tego świata, tylko z nie skrywaną satysfakcją rozprawiać będzie o oplakanym stanie swego zdrowia, odmawiając przy tym przyjmowania wszelkiej pomocy, nawet ze strony jedyne go syna. W przekonaniu gosposi zostało mu zaledwie kilka tygodni życia.

Mimo że od dwudziestu lat nie utrzymywali z sobą kontaktu, wiadomość o chorobie ojca wstrząsnęła Jackiem do tego stopnia, że postanowił podjąć próbę rozliczenia przeszłości, zanim okaże się za późno. Tak oto, chociaż nie miał na to najmniejszej ochoty, znalazł się w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu na drugim końcu świata. Dziesięć lat życia w Londynie sprawiło, że Ashburton wydało mu się wymarłą, zabita deskami dziurą.

Cóż, małe kraj, małe miasteczko i mały szpital.

Jack obojętnie skinął głową w kierunku rejestratorki, która powitała go szerokim uśmiechem, i skierował wzrok na białą tablicę zawieszoną na ścianie za jej plecami.

„83 dni do końca roku. Ashburton General wita nowe tysiąclecie”, przeczytał i zastanowił się, w którym to momencie personel szpitala zaczął odliczać dni pozostałe do końca dwudziestego wieku. Muszą się tu strasznie nudzić, skoro wymyślają sobie tak wątpliwe przyjemności. Przed rokiem ta sama tablica pewnie przypominała wchodzącym, ile dni zostało im na zrobienie świątecznych zakupów.

Westchnął w duchu. Ograniczeni ludzie o ograniczonych umysłach. Co prawda, gorączka związana z początkiem nowego tysiąclecia ogarnęła obie półkule, ale to, co dzieje się w tej części świata, graniczy z paranoją. Nowozelandczycy, którzy jako pierwszy z narodów powitają nowe milenium, najwyraźniej są przekonani, że nie bez przyczyny spotyka ich to wyróżnienie. Jack myślał o tym z politowaniem.

Czytał gdzieś nie tak dawno, że na przełomie poprzedniego tysiąclecia ludzie, w obawie przed nadejściem Armagedonu, zachowywali się co najmniej dziwnie, ale mogłoby

się wydawać, że dziesięć stuleci zbiorowego doświadczenia powinno ich czegoś nauczyć. Z zamyślenia wyrwał go ponowny pisk pagera. Rejestratorka, której imienia nie raczył nawet zapamiętać, podniosła głowę znad biurka.

- Może pan skorzystać z tego telefonu, doktorze. - Podsunęła mu aparat. - Jeśli pan wykręci zero, zgłosi się telefonistka, to znaczy Marcia. - Wskazała dłonią w kierunku dziewczyny siedzącej ze słuchawkami na uszach w przeszklonej budce po drugiej stronie holu.

- Dzień dobry, doktorze Armstrong - odezwał się głos w słuchawce, ledwie wykręcił numer centrali. - Witamy w Ashburton General.

Wygląda na to, pomyślał, że czekają tu na mnie z otwartymi rękami. Nic dziwnego, podobno spadłem im z nieba. Szkoda tylko, że nie sądzę, żebym kiedykolwiek odwzajemnił ich entuzjazm.

- Podobno ktoś chce ze mną rozmawiać, Mary.

- Marcia - poprawiła telefonistka. - Owszem. Amanda Morrison czeka na linii. Już łączę.

Kim, do diabła, jest Amanda Morrison? Może jednak powinien był wczoraj zacisnąć zęby i dać Kevinowi oprowadzić się po szpitalu.

- Dzień dobry. Doktor Armstrong?

- Tak, słucham.

- Mówi Amanda Morrison. Witam pana w Ashburton. Mam nadzieję, że się panu u nas spodoba.

- Ja również - odparł bez przekonania. - Czym mogę służyć, doktor Morrison?

- Nie jestem lekarzem, tylko pielęgniarką - wyjaśniła. - Dzwonię z oddziału położniczego. Mamy tu piętnastoletnią pierwiastkę...

- Może pani powtórzyć?

- Piętnastoletnią...

- Dobry Boże! Czy nikt tu nie uczy dzieci antykoncepcji?

W słuchawce zapadła cisza. Na widok konsternacji na twarzy rejestratorki Jack wziął aparat do ręki i odwrócił się plecami do biurka. Amanda odezwała się dopiero po chwili, wyraźnie zmieszana.

- Naprawdę, doktorze, wydaje mi się, że w tej chwili nie ma to większego znaczenia.

- Czyżby? - Że też przyszło mu pracować z tak ograniczonymi ludźmi. Toż to prawdziwy ciemnogród! - Jeśli wszyscy tu podzielają pani stosunek do oświaty seksualnej, nie dziwię się, że dzieci rodzą wam dzieci.

- Chciałam powiedzieć, że akurat w tej chwili kwestie antykoncepcji można odłożyć na później. - Tym razem jej głos brzmiał stanowczo. - Mam rodzącą z pośladkowym ułożeniem dziecka, u której akcja porodowa trwa już czternaście godzin. Pacjentka ma silne bóle i

zaczyna opadać z sił. Chciałabym, żeby pan ocenił, czy nie wymaga znieczulenia i ewentualnie wywołania porodu.

- Macie tu anestezjologa?

- Oczywiście - odparła z nie skrywaną irytacją. - Nie sądzi pan chyba, że w przeciwnym wypadku szpital zatrudniałby chirurga, prawda?

- Pytam tylko, czy jest w tej chwili osiągalny. - Jack uśmiechnął się pod nosem. Drobną utarczką z pielęgniarką wyraźnie poprawiła mu humor. - Chyba zgodzi się pani ze mną, że nie jest to duży szpital. Jak się nazywa anestezjolog?

- Tom Kearney. Mam po niego zadzwonić?

- Nie, najpierw sam obejrzę pacjentkę. Już idę, tylko muszę znaleźć drogę na oddział.

- Raczej pan nie zabłądzi - zauważyła uszczypliwie. - Bo jak raczył pan sam zauważyć, nasz szpital nie grzeszy wielkością.

Amanda odłożyła słuchawkę i przez dłuższą chwilę wpatrywała się z niedowierzaniem w aparat. Co za okropny typ! Ciekawe, czy Kevin Farrow, który nie dalej jak wczoraj cieszył się z przyjęcia nowego chirurga, zdaje sobie sprawę, że ów pyszałek ma ich wszystkich za bandę ciemniaków stosujących szamańskie praktyki w rozsypującej się szopie. Zazwyczaj pogodna twarz pielęgniarki, okolona burzą czarnych, kręconych włosów, tym razem wyrażała zniechęcenie.

- I co powiedział? - zapytała młoda położna, układając w stosy czystą pościel.

- Że powinniśmy nauczyć pacjentkę antykoncepcji.

- No, na to już chyba trochę za późno.

- Właśnie. To samo mu powiedziałam. - Amanda z z troskaniem przyjrzała się koleżance. - Wyglądasz, jakbyś była wykończona, Libby. Od kiedy jesteś na dyżurze?

- Małą Chloe Worbeton przywieźli wczoraj o szóstej po południu. A Helen Page przyjechała z godzinę temu.

- Znowu Helen? Które to już dziecko?

- Piąte. Ale wszystko jest w porządku. Chyba bez problemu urodziłaby i bez naszej pomocy. Natomiast stan Chloe zaczyna mnie poważnie niepokoić. Miałam poradzić się Grace, ale dzwoniła właśnie, że ma grypę, więc uznałam, że najlepiej zadzwonić po ciebie.

- Jasne. Dasz sobie radę z Helen w pojedynkę?

- Pewnie.

- Świetnie. Tylko uważaj na siebie, bo jeszcze i ciebie zmoże ta przekłeta grypa. Na szczęście mamy już chirurga, więc nie będzie potrzeby przewożenia Chloe do Christchurch.

- Nieczęsto nam się zdarza nowa męska twarz - roześmiała się Libby. - Nie mogę się wręcz doczekać, żeby go zobaczyć.

- A ja już chyba nie - odrzekła Amanda i otworzyła drzwi do pokoju młodzieńczej pacjentki.

Dziewczyna nie wyglądała nawet na swój wiek. Jej blada, przestraszona twarz w niczym nie przypominała teraz buzi niefrasobliwej nastolatki. Amanda miała nadzieję, że sam wygląd pacjentki zmusi chirurga do okazania jej choć odrobiny współczucia. Chloe ze wszystkich sił ścisnęła rękę siedzącej przy łóżku matki. Mimo wieloletniego doświadczenia Amanda nie popadła w rutynę. Potrafiła wczuć się w położenie dziewczyny i świetnie rozumiała jej lęki. Sprawdziła puls dziewczyny i dla otuchy uściśniła jej dłoń.

- Świetnie ci idzie, Chloe. Niedługo już będzie po wszystkim. - Dziewczyna bez przekonania skinęła głową. - Ból trudniej jest znieść, kiedy zaczynasz opadać z sił, prawda?

Dziewczyna znowu kiwnęła głową, z trudem powstrzymując łzy, Amanda zaś sięgnęła po najświeższy wydruk z aparatu monitorującego przebieg porodu. Na szczęście, serce dziecka biło regularnie z szybkością 127 uderzeń na minutę. Dopiero przy kolejnym skurczu rytm stał się mniej regularny. Chloe jęknęła i wtuliła głowę w poduszkę. Jej matka spojrzała na pielęgniarkę.

- Czy nie można podać jej czegoś na przyspieszenie, siostrze? Dlaczego to tak długo trwa?

- Poprosiłam chirurga o konsultację. Pewnie zleci coś na uśmierzanie bólu, a potem...

- Tylko, na Boga, nie podawajcie jej niczego na osłabienie skurczów - jęknęła Brenda Worbeton. - Mówiłam już położnej. Chloe da sobie radę. Jest naprawdę...

- Przecież nam wszystkim chodzi o dobro Chloe i dziecka. Zobaczymy, co powie lekarz.

- Doktor Brogan? - spytała Brenda głosem nie pozbawionym nostalgii. - Wiesz, że to on odbierał Chloe?

- Nie, tym razem zrobi to ktoś inny. Doktor Brogan przeszedł zawał jakieś dwa miesiące temu i zdecydował się na wcześniejszą emeryturę. Na szczęście udało nam się znaleźć chirurga z doświadczeniem w położnictwie. Brenda zmarszczyła brwi.

- To dobry lekarz?

- Na pewno. - Amanda miała nadzieję, że się nie myli, bo gdyby miało się okazać, że jest równie kompetentny jak sympatyczny, to Chloe może znaleźć się w nie lada kłopotcie. - Przez dziesięć lat pracował w Londynie i ma wręcz znakomite referencje. Nazywa się Jack Armstrong.

- Chodziłam do szkoły z chłopakiem o takim imieniu i nazwisku. Może to ten sam?

- Wątpię. - Ton głosu lekarza kazał jej przypuszczać, że nie miał wcześniej styczności z nowozelandzką prowincją.

Dalszą wymianę zdań przerwało wejście wysokiego mężczyzny w ciemnym, trzyczęściowym garniturze. Jego wygląd wprowadził Amandę w kompletne osłupienie. Przez wszystkie lata pracy w Ashburton nie zdarzyło się jej mieć do czynienia z lekarzem, który pojawiłby się na dyżurze w takim stroju. Wygląda, pomyślała, jak butelka francuskiego

szampana umieszczona w skrzynce na piwo. Kiedy pochylił się nad kartą pacjentki, na czoło opadł mu kosmyk ciemnych, modnie ostrzyżonych włosów.

Brenda Worbeton przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu, po czym wykrzyknęła wręcz entuzjastycznie:

- To jednak ty! Ten sam Jack!

Odgarnął włosy i przeniósł na nią obojętne spojrzenie.

- Pani, jak sędzę, jest matką Chloe, tak?

- Jestem Brenda. Brenda Worbeton. - Brak oczekiwanej reakcji sprawił, że zachowanie kobiety stało się mniej wylewne. - Minęło wiele lat, ale musisz przecież pamiętać szkołę podstawową przy Arthur Street.

- Rzeczywiście, chodziłem kiedyś do tej szkoły. Ale jak sama pani zauważyła, było to dawno temu. - Skierował wzrok na Amandę i wyciągnął rękę w jej kierunku. - Jack Armstrong - przedstawił się całkiem niepotrzebnie.

- Amanda Morrison. - Spojrzała mu prosto w oczy i odwzajemniła mocny uścisk dłoni. Brenda wciąż nie dawała za wygraną.

- Nie mogłeś mnie zapomnieć. Przecież w drugiej klasie siedzieliśmy nawet w jednej ławce. Pamiętasz, jak wrzuciłeś pani Allen mysz do pudełka z drugim śniadaniem?

Amanda odniosła wrażenie, że lekarz w ogóle nie słucha.

- Poproszę o rękawiczki, siostró. Raczy pani poczekać na korytarzu, aż skończę badanie, pani Worbeton?

Przynajmniej jest kompetentny, przyznała Amanda, przyglądając się poczynaniom chirurga. Lecz mimo że nie miała zastrzeżeń ani do jego umiejętności, ani do sposobu, w jaki traktował Chloe, daleka była od zachwyty. Co prawda oszczędził sobie w stosunku do rodzącej niepotrzebnych uwag na temat antykoncepcji, ale wyniosły, wręcz nieprzyjemny sposób bycia nie zjednał mu sympatii pielęgniarki.

- Proszę mi powiedzieć - zwrócił się do Amandy przyciszonym głosem - dlaczego nikomu nie przyszło do głowy, żeby od razu podać jej znieczulenie zewnątrzoponowe? Przecież przy takim ułożeniu płodu musieliście wiedzieć, że poród będzie długi i bolesny. Tymczasem nie dostała nawet morfiny.

- Chloe odmówiła jej przyjęcia - spokojnie wyjaśniła Amanda - ale zgadzam się z panem i gdybym była na dyżurze, z pewnością zaleciłabym silniejsze środki przeciwbólowe.

- Teraz i tak już za późno. Proszę przewieźć pacjentkę do sali porodowej i podać jej gaz. I dajcie mi znać, jeśli w ciągu godziny nic się nie zmieni - polecił, po czym zwrócił się do dziewczyny: - Masz przed sobą kawał ciężkiej roboty, Chloe.

- Pomogę ci się nieco podnieść. W ten sposób będziesz uciskać główkę dziecka i ułatwisz mu wydostanie się na zewnątrz - rzekła Amanda i ująwszy dziewczynę pod ramię, podłożyła jej pod plecy poduszkę. - Kiedy poczujesz ból, weź głęboki oddech i zacznij przecę.

Przyciśnij brodę do piersi i przyj tak mocno, jak tylko potrafisz. Mama przytrzyma ci maskę z gazem znieczulającym.

Gdy później Amanda spojrzała na zegarek, stwierdziła, że od wyjścia lekarza minęła już prawie godzina. Jeszcze jeden skurcz i ponownie zbada pacjentkę.

- Świetnie ci idzie, Chloe. Nabierz powietrza i przyj. O tak. Jeszcze raz. Pamiętaj, do trzech razy sztuka. Może teraz się uda.

Kiedy po kilku minutach w drzwiach pojawiła się Libby z kubeczkim pokruszonego lodu dla rodzącej, Amanda skorzystała z okazji, by na chwilę wyjść z nią na korytarz.

- Jak się miewa Helen?

- W porządku. Urodziła kolejnego chłopczyka i twierdzi, że może już spokojnie wracać do domu.

- Nie tak szybko. A skoro o domu mowa, ty na pewno powinnaś już iść.

- A co z Chloe?

- Żadnego postępu. Muszę jeszcze raz zadzwonić po doktora Armstronga.

- Jaki on właściwie jest?

- Zbyt wyniosły jak na mój gust, ale chyba przynajmniej zna się na tym, co robi.

Następne pół godziny utwierdziło ją w tym przekonaniu. Jack Armstrong pojawił się teraz na oddziale w towarzystwie anestezjologa. Amanda asystowała im, gdy podawali rodzącej znieczulenie. Niestety, w międzyczasie skurcze macicy na tyle osłabły, że niezbędna okazała się kroplówka z oksytocyny. Amanda nie spuszczała oczu z ekranu monitora kontrolującego stan dziecka.

- Tętno wzrosło do 150 uderzeń na minutę - poinformowała po kolejnym skurczu.

Chloe zalała się łzami.

- Nie mam już siły przeć.

- Kochanie, świetnie ci idzie. Nie poddawaj się. Jeszcze chwila i będzie po wszystkim - pocieszała Brenda córkę, mimo że sama była już wyczerpana.

Jack zauważył pytające spojrzenie Amandy i lekko skinął głową.

- Nie martw się, Chloe. Spróbujemy pomóc dziecku wydostać się na świat. - Podeszedł do umywalki i zaczął szorować ręce. - Użyjemy kleszczy - wyjaśnił.

Dziewczyna chętnie przystała na propozycję.

- Umieszczę ci teraz stopy na tych podpórkach. - Amanda nie musiała czekać na instrukcje. - Na znak doktora zacznij przeć, a on postara się wyciągnąć dziecko.

- Będzie bolało? - wyszeptła Chloe z niepokojem.

Amanda przykryła nogi pacjentki sterylnym płótnem i sięgnęła po pojemnik ze środkiem odkażającym.

- Poczujesz szarpnięcie, co może być trochę nieprzyjemne, ale nie powinno boleć.

- Właśnie wykonałem znieczulenie miejscowe, żeby móc zrobić nacięcie - wyjaśnił

chirurg pacjentce. - Siostrze, poproszę teraz nożyczki.

Pielęgniarka spełniła polecenie, po czym czekała spokojnie, trzymając w gotowości kleszcze. Po chwili rozległ się pierwszy, nieśmiały jeszcze płacz noworodka. Jack odciął pępowinę i podał jej dziecko.

- Osiem punktów na skali Apgara po pierwszej minucie - ocenił. - Proszę zabrać dziecko na oddział.

Amanda aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- U nas dzieci zawsze zostają przy matkach - wyjaśniła.

- Ale chyba nie w tym przypadku, prawda? Ściszyła głos.

- A czymże różni się ten przypadek od innych?

- Podobno dziecko jest przeznaczone do adopcji.

- I co z tego? Uważa pan, że jest to wystarczający powód, żeby uniemożliwić matce poczucie więzi z własnym maleństwem? - zapytała, z trudem opanowując wzburzenie.

- To temat na dłuższą dyskusję.

- Być może, tylko że akurat nie czas i nie miejsce, żeby ją prowadzić. - Otarła buzię noworodka wilgotnym wacikiem i odwróciła się tyłem do lekarza. - Masz śliczną córeczkę, Chloe. Chciałabyś ją potrzymać? - zapytała.

Kevin Farrow z przejęciem machał do niej dłonią.

- Właśnie dzwonił z telewizji - oznajmił, kiedy Amanda znalazła się na tyle blisko, żeby go usłyszeć.

- Nie mów? - Twarz pielęgniarki rozjaśnił szeroki uśmiech. - Czyżby nasz nowy chirurg okazał się międzynarodową sławą i mediom właśnie udało się ustalić miejsce jego pobytu?

- Sądząc ze sposobu, w jaki się ubiera, rzeczywiście mógłby zagrać rolę gwiazdy.

Amanda przyjrzała się rozpiętej pod szyją koszuli i luźnym spodniom szefa. Kevin zawsze nosił się swobodnie, dzięki czemu nie odstawał zbyt od reszty zespołu. Poza tym niedawne zaręczyny z Lindą, pielęgniarką z oddziału chirurgii, zjednały mu sympatię większości pracowników.

- Ale przynajmniej zna się na tym, co robi - oświadczyła. - Mieliśmy skomplikowany poród dziś rano i muszę przyznać, że poradził sobie z kleszczami nader zręcznie.

- Miło mi to słyszeć. - Kevin nagle spoważniał. - Wiesz, referencje dają jedynie podstawową wiedzę na temat pracownika.

- To prawda. Zapewne nie zawierają informacji na temat charakteru kandydata?

- Czyżby coś cię zaniepokoiło?

- Właściwie nie. Tylko odnoszę wrażenie, że pan Armstrong wcale nie jest zachwycony faktem, że przyszło mu u nas pracować.

- Trudno się dziwić. Podobno przyjechał tu tylko dlatego, że jego ojciec jest

umierający.

- Nic o tym nie wiedziałam. - Amanda poczuła przyływ współczucia. Zdawała sobie sprawę, że problemy rodzinne mogą poważnie wpłynąć na ludzkie zachowanie, więc może nie powinna oceniać Jacka aż tak surowo. - Ale o czym chciałeś mi powiedzieć?

Kevin natychmiast odzyskał pogodny nastrój.

- Wiesz o tym, że Dorothy McFadden skończy niedługo sto lat?

Amanda skinęła głową. Dorothy należała do niewielkiej grupy pacjentów skazanych na długotrwały pobyt w szpitalu.

- Wiem, wiem. Już się nie może doczekać życzeń od królowej.

- To może znasz też dokładną datę jej urodzin?

- Niestety, nie. Miałam sprawdzić, ale wyleciało mi to z głowy. Chyba gdzieś na początku przyszłego roku.

- Na samym początku. - Kevin nie krył podekscytowania. - A dokładnie pierwszego stycznia.

- W Nowy Rok?

- Właśnie. W pierwszy dzień nowego stulecia, pierwszy dzień nowego tysiąclecia - wyjaśnił przejęty. - Rozumiesz, co to oznacza?

- Zapewne jeszcze jedno przyjęcie.

Całe to milenijne zamieszanie zaczynało Amandę nieco irytować. Ludzie zachowywali się tak, jakby stali u progu nowej, szczęśliwszej epoki. A przecież przez sam fakt wkroczenia w nowe tysiąclecie ich życie nie ulegnie zmianie.

- I to bardzo huczne przyjęcie. Będziemy musieli rozesłać zaproszenia.

- Nie sądzę, żeby Dorothy spodobał się ten pomysł - ostrzegła. - Wiesz przecież, jak bardzo ceni sobie prywatność.

Kevin chyba jej nie zrozumiał.

- Posłuchaj, Dorothy jest jedyną osobą w Nowej Zelandii, która skończy sto lat w Nowy Rok. Co więcej, pewnie nie ma drugiej takiej osoby na całej południowej półkuli. A to znaczy, że będzie pierwszą osobą na świecie, która będzie obchodzić setne urodziny w pierwszy dzień nowego tysiąclecia. - Ściszył głos, jakby chciał powierzyć Amandzie ważną tajemnicę. - To wzbudziło wielkie zainteresowanie mediów, naprawdę. A część tego zainteresowania, siłą rzeczy, przypadnie szpitalowi. - Położył dłoń na ramieniu pielęgniarki. - Żaden specjalista od public relations nie wymyśliłby nam lepszej reklamy. Dzięki Dorothy będzie o nas głośno i może unikniemy zamknięcia.

Amanda westchnęła. Dobrze wiedziała, jak realna jest groźba likwidacji szpitala. Ashburton dzieli od najbliższego średniej wielkości miasta prawie godzina drogi, a rząd coraz niechętniej utrzymuje placówki służące głównie ludności wiejskiej. To i tak prawie cud, że zgodzili się na przyjęcie chirurga, zamiast po prostu zamknąć cały oddział.

Ku radości całej okolicy, jakiś czas temu Kevin Farrow postanowił uratować szpital. Wszyscy pracownicy, nie wyłączając Amandy, popierali jego działania. Mimo że Amanda zapewne znalazłaby zatrudnienie w miejskim szpitalu, a dzięki dogodnym połączeniom nie musiałaby nawet zmieniać miejsca zamieszkania, wolała pozostać w Ashburton. Praca tu była czymś wyjątkowym i stanowiła całe jej życie. Mimo to najnowszy pomysł Kevina nie całkiem przypadł jej do serca.

- Gwoli ścisłości, chciałam ci przypomnieć, że właściwie powinniśmy wypisać już Dorothy do domu albo przenieść ją do domu opieki - powiedziała. - Trafiła do nas na skutek niegroźnego wylewu, ale już doszła do siebie i prawdę mówiąc, jest w świetnej formie jak na swój wiek.

- Ale przecież nie ma dokąd pójść. - Możliwość wypisania pacjentki wyraźnie przstraszyła młodego dyrektora. - Jest za słaba, żeby udać się w podróż powrotną do Anglii, a tutaj nie ma nikogo.

- To prawda. I między innymi dlatego wciąż tu jest. W dodatku, ze względu na paskudny wrzód na stopie, nie może się samodzielnie poruszać. A jeśli wkrótce nie nastąpi poprawa, trzeba będzie chyba pomyśleć o przeszczepie tkanki skórnej.

- Świetny pomysł. - Kevin odetchnął z ulgą. - A po zabiegu poczekajcie, aż rana się dobrze zagoi, zanim pozwolicie jej wstawać. W takich przypadkach pośpiech nie jest wskazany.

Amanda uśmiechnęła się bez przekonania.

- Obawiam się jednak, że Dorothy nie będzie zachwycona zamieszczeniem wokół własnej osoby.

- Dlatego właśnie zwróciłem się do ciebie. Nikt nie zna staruszki tak dobrze jak ty. Codziennie spędzasz z nią sporo czasu.

- Bo naprawdę bardzo ją polubiłam. Przypomina mi moją babcię.

- No to teraz wszyscy będą mieli okazję ją poznać. Stanie się sławna na cały kraj. Ba, na cały świat. Co więcej, rozsławi nasz prowincjonalny szpitalik, który otoczył ją jakże troskliwą opieką. Muszę ci się przyznać, że rozmawiałem już na ten temat z producentką z telewizji. Powiedziała, że może przy okazji nakręcać oddzielny reportaż na nasz temat.

- Dobrze wiesz, jak napastliwi potrafią być dziennikarze. Naprawdę nie wiem, co na to powiedzieć.

- Nie przesadzaj, Mandy. Przecież może się okazać, że to jedyny sposób, żeby uratować szpital. Chyba warto skorzystać z okazji, nawet kosztem potykania się o kable porozciągane przez kilka dni na podłodze. Porozmawiaj z Dorothy, proszę!

- No dobrze. - Błagalny wyraz oczu Kevina nieco osłabił jej opór. - Właśnie idę zjeść z nią lunch. Ale ostrzegam, że jeśli twój pomysł nie przypadnie Dorothy do gustu, moim obowiązkiem będzie ją chronić.

- Oczywiście. Wiem jednak, że potrafisz ją przekonać. Pamiętaj, że liczę na ciebie.

Amanda zabrała posiłek ze stołówki i z tacą w dłoniach powędrowała na piętro, gdzie znajdował się oddział geriatryczny. Młoda pielęgniarka, która właśnie roznosiła lunch, powitała ją z uśmiechem.

- Witaj, Mandy. Dorothy jest na tarasie.

Udając się we wskazanym kierunku, Amanda witała się z pozostałymi chorymi. Było ich tu zaledwie dziesięcioro. Między innymi Jim Cooper, emerytowany hodowca owiec, który skończywszy osiemdziesiąt lat, zaczął gwałtownie tracić sprawność umysłu. Jim zawsze miał na głowie kapelusz, a o czwartej po południu wymagał szczególnego nadzoru, gdyż zwykle wybierał się o tej porze do psiarni. Był trudnym, często kłótliwym pacjentem, lecz dziś, o dziwo, siedział spokojnie i podziwiał wiejski krajobraz za oknem.

- Co słyhać, panie Cooper? - spytała z uśmiechem.

- Zajęty jestem. Owce się kocą, a przy tym zawsze jest mnóstwo roboty.

Widząc, że staruszek nie ma chęci na pogaduszki, Amanda skierowała swe kroki na taras.

Jak zwykle, gdy pogoda dopisywała, Dorothy siedziała z robótką w ręku w swym ulubionym fotelu i rozkoszowała się wiosennym słońcem.

- Pani Golder znowu się postarała - rzekła Amanda i postawiła tacę na stole. - Kanapki z jajkiem i natką pietruszki na miękkim chlebie bez skórki. Herbata mocna, taka, jaką lubisz. I popatrz, nawet róża na tacy.

- Za bardzo mnie rozpieszczacie. - Mimo filigranowej, kruchej sylwetki, Dorothy wciąż mówiła dźwięcznym i mocnym głosem. - Obie, kucharka i ty. Nie musisz aż tak często przychodzić do mnie na lunch. Powinnaś spędzać więcej czasu między młodymi.

- Ale ja naprawdę lubię cię odwiedzać - zapewniła, przysuwając stolik do fotela Dorothy. - Poza tym - zażartowała - nie mam wyjścia, bo tylko z tego tarasu widać mój ogródek. Muszę przecież codziennie sprawdzić, jak się ma Ralph. O, właśnie wyleguje się na trawniku i gryzie kość.

- Bardzo kochasz tego psa, prawda? - Staruszka drżącą dłonią podniosła filiżankę do ust.

- Tak. Dostałam go od babci, kiedy przeżywałam naprawdę ciężki okres. Teraz ma jedenaście lat i nie jest już tak ruchliwy jak kiedyś. To prawdziwy przyjaciel. - W głosie Amandy dała się wyczuć nuta rozczulenia.

- Niestety, mam za słaby wzrok, żeby go stąd zobaczyć. I tak dziękuję Bogu, że udaje mi się jeszcze haftować. Opowiedz mi, jak wygląda twój dom.

- To właściwie jeden z kilku niewielkich segmentów. Wszyscy sąsiedzi są już na emeryturze. Babcia zapisała mi go w testamencie. Mam stamtąd tak blisko do pracy, że nawet nie myślę o przeprowadzce.

Dorothy uważnie przyjrzała się pielęgniarce.

- Nie należy zanadto przywiązywać się do jednego miejsca, szczególnie w tak młodym wieku. Uważam, że powinnaś popробować różnych rzeczy i podjąć ryzyko przygody.

- Po co, skoro dobrze mi z tym, co mam? Ale jeśli tobie tęskno do przygód, to Kevin Farrow ma dla ciebie propozycję. Obiecałam mu, że ci ją przedstawię. Tylko pamiętaj, że masz prawo odmówić.

Dorothy nie spuszczała oczu z twarzy Amandy.

- Wiesz, że od początku jesteś dla nas wyjątkową pacjentką - zaczęła Amanda, pijąc herbatę. - A teraz doszła jeszcze kwestia twoich urodzin, przypadających w pierwszy dzień nowego tysiąclecia. Jakimś cudem wiadomość na ten temat dotarła do dziennikarzy i telewizja chciałaby nakręcić reportaż na twój temat.

- Reportaż o mnie? - Dorothy nie posiadała się ze zdumienia. - A kto by to oglądał?

- Mnóstwo ludzi. Tylko musiałyś odpowiedzieć na wiele pytań, i to w dodatku przed kamerą. Obawiam się, że to męczące.

- Myślisz, że wszyscy obejrzeliby ten program? Przynajmniej w Ashburton?

- Sądzę, że tak - zapewniła Amanda z uśmiechem. - Stałabyś się sławna. Całe miasteczko byłoby z ciebie dumne.

- A jeśli on nie ma telewizora?

- Kto?

Dorothy patrzyła przed siebie nie widzącym wzrokiem. To zrozumiałe, że już teraz nie może pozbierać myśli, pomyślała Amanda, uznając pomysł Kevina za co najmniej niedorzeczny. Jednak staruszka szybko się otrząsnęła.

- Wiesz - powiedziała po chwili namysłu - to może być całkiem przyjemne. Zgadzam się.

- Jesteś pewna? Może potrzebujesz trochę czasu do namysłu?

Dorothy obdarzyła Amandę jednym ze swych rzadkich uśmiechów.

- Nie, nie potrzebuję. To będzie jakby obramowanie.

- Nie rozumiem.

- Jakby rama wokół obrazu całego mojego życia. Ludzie to rozumieją. Nawet jeśli nie poznają prawdy, przynajmniej zobaczą obraz.

Amanda skinęła głową, mimo że niewiele pojmowała ze słów pacjentki. Najwyraźniej myśli Dorothy znowu zaczęły krążyć gdzieś daleko. Nagle poczuła na ręku dotyk powyginanych przez reumatyzm palców.

- To coś nowego, Amando. Szansa, żeby zacząć coś od początku albo zakończyć to, co nie dokończone. Nie sądziłam, że taka okazja jeszcze mi się kiedyś przytrafi. Życie naprawdę pełne jest niespodzianek.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rzeczywiście, życie obfituje w niespodzianki. Szkoda tylko, że nie wszystkie należą do przyjemnych. Na przykład, wirus grypy zaczął nieoczekiwanie zbierać żniwo wśród personelu szpitala, zrzucając na barki Amandy mnóstwo dodatkowych zajęć związanych z organizowaniem zastępstw.

Planowanie pracy szpitala należało do jej podstawowych obowiązków. Ashburton General miał trzy główne oddziały zajmujące się interną, chirurgią, pediatrią, rehabilitacją i geriatrią, a także dwa pododdziały - intensywnej terapii oraz nagłych wypadków. Amanda była odpowiedzialna za organizację ich pracy oraz grafik dyżurów pielęgniarek w całej placówce. Zazwyczaj jednak całą tę papierkową robotę wykonywała po godzinach, bo prawdziwą satysfakcję czerpała z bezpośrednich kontaktów z pacjentami.

W ciągu ostatnich ośmiu lat pracowała w każdym z oddziałów, dzięki czemu czuła się równie pewnie na chirurgii, jak i na oddziale położniczym czy geriatric. Przez te wszystkie lata nie przepuściła żadnej okazji, by się czegoś nauczyć. Czytała fachową literaturę i uczęszczała na dodatkowe kursy, aż w końcu praca stała się właściwie całym jej życiem.

Czerpała radość ze zdobytej wiedzy i doświadczenia.

Dbła o to, by nawiązać znajomość z każdym chorym przyjmowanym do szpitala, pamiętała imiona i historię choroby większości pacjentów. W razie potrzeby chętnie zastępowała nieobecne koleżanki. Wszyscy w szpitalu wiedzieli, że można na nią liczyć o każdej porze dnia i nocy. Zaskarbiła sobie sympatię całego personelu, a jej pozycja w szpitalu stała się niepodważalna.

Idąc tego dnia do pracy, na chwilę zatrzymała się obok rejestracji. Karen właśnie starła z tablicy liczbę 83 i starannie napisała 82.

- Nie znudziło ci się jeszcze? Robisz to chyba od zawsze? - zagadnęła Amanda.

- Tylko od początku roku - roześmiała się rejestratorka.

- A teraz zaczyna się robić naprawdę wesoło. Idziesz na uliczną zabawę w sylwestra?

- Nie. Będę w pracy.

- Jak zwykle. - Karen pokręciła głową. - Domyślam się, że święta też spędzisz w szpitalu.

- Ktoś przecież musi.

- Ale dlaczego zawsze ty?

A dlaczego nie, pomyślała bez żalu. Praca i tak całkowicie wypełnia mi życie. Nie zamierzała się jednak dzielić tym spostrzeżeniem z Karen, bo rejestratorka mogłaby dojść do błędnego przekonania, że się nad sobą użala. A przecież ona naprawdę jest szczęśliwa.

Zerknęła na zegarek.

- Mam dzisiaj dyżur na bloku operacyjnym, bo Lindę też zmogła grypa. Poproś Marcję,

żeby odbierała dla mnie wiadomości. Jeśli będzie coś pilnego, dajcie mi znać w przerwach między zabiegami.

W drzwiach wejściowych właśnie pojawił się Tom Kearney. Amanda powitała go pogodnie.

- Będę ci dzisiaj asystować zamiast Lindy.

- Świetnie - ucieszył się. Tom był pogodnym mężczyzną po sześćdziesiątce. Spędził w Ashburton ostatnie trzydzieści lat, dzieląc czas między dwie pasje: anestezjologię i wędkowanie.

Chwilę później drzwi otworzyły się ponownie i do środka wszedł Jack Armstrong, jak zwykle w nienagannie skrojonym garniturze, choć tym razem bez kamizelki.

- Witaj, Jack. - Tom uśmiechnął się do chirurga. - Czeka cię dziś kilka zabiegów.

- Tak? - W oczach Jacka Armstronga pojawił się błysk zainteresowania. - Jakich?

- Trzy razy usunięcie migdałków i dwie biopsje.

- A zdarza wam się czasem coś ciekawszego? - Jack był wyraźnie rozczarowany.

- Proszę zrozumieć, że przez jakiś czas nie mieliśmy żadnego chirurga, więc powstały pewne zaległości w leczeniu mniej pilnych przypadków i teraz musimy to nadrobić - wyjaśniła Amanda, starając się nadać przyjazny ton swoim słowom. - Będę panom dziś asystować, doktorze - dodała.

- A to dobre! Położna na bloku operacyjnym w zastępstwie instrumentariuszki. Co za podziwu godna wszechstronność!

- Siostra Morrison nie jest położną - wtrącił Tom ze spokojem. - Jest przełożoną pielęgniarek i w naszej hierarchii plasuje się zaraz za Kevinem.

- Przełożoną? - Jack spojrzał na nią z kompletnym niedowierzaniem.

- Zapewniam pana, doktorze, że praca na chirurgii nie jest mi obca, jeśli tego się pan obawia - rzekła Amanda nieco nastroszona.

- Amanda jest rzeczywiście wszechstronna i wszyscy w szpitalu cenimy ją za wiedzę i poświęcenie - ciągnął Tom.

- Gdyby nie ona, nie wiem, jak poradziłibyśmy sobie z tą grypą. Amanda potrafi zastąpić każdego.

- Doprawdy?

Amanda uśmiechnęła się, że nie widzi szacującego jej sylwetkę spojrzenia.

- Pójdę z tobą, Tom, żeby sprawdzić, czy wszystko jest już gotowe - powiedziała. - Pierwszy zabieg zaplanowany jest na dziesiątą. Może chce pan nam towarzyszyć, doktorze - zwróciła się do Jacka - i poznać pacjentów.

- I tak mnie to nie ominie. Na razie proszę mi przysłać do gabinetu karty z historią choroby - odparł Jack, po czym odwrócił się i zniknął w głębi korytarza.

Amanda i Tom szybko wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

- Coś mi się wydaje, że łatwość nawiązywania kontaktów nie jest mocną stroną doktora Armstronga.

- Wcale mnie to nie dziwi - westchnął anestezjolog.

- Dlaczego?

- Znam jego ojca - zaczął Tom ściszym głosem. - A właściwie znałem, bo przez ostatnie lata nie miałem z nim żadnego kontaktu. Od dłuższego czasu John Armstrong izoluje się właściwie od wszystkich.

- John Armstrong? Nigdy o nim nie słyszałam.

- Niemożliwe. Rodzina Armstrongów mieszka tu od wielu pokoleń. Mieli największą farmę w całej okolicy. Ale kiedy Izba Lekarska odebrała mu prawo wykonywania zawodu, John popadł w straszne długi.

- To znaczy, że ojciec Jacka był lekarzem?

- Tak, i to bardzo dobrym, choć nie był zbyt lubiany. Pracował tu przez wiele lat i jeszcze piętnaście lat temu, kiedy już przeszedł na emeryturę, prosiliśmy go o pomoc w nagłych przypadkach.

- Ale jak to się stało, że stanął przed Izłą?

- Jakieś dwadzieścia pięć lat temu rzuciła go żona i zabrała ich jedyne dziecko. Wtedy zaczął zaglądać do kieliszka, chociaż jeszcze jakoś się trzymał, dopóki nie przeszedł na emeryturę. A potem wezwano go do pewnego przypadku i... - Tom zwiesił głos. - To był dla niego ciężki okres. Podobno stracił cały majątek, ale musiał zawrzeć jakąś ugodę w sprawie domu, bo wciąż w nim mieszka. Zresztą, jeśli chodzi o farmę, to miejscowi już wcześniej mieli do niego pretensje.

- Nie rozumiem.

- Sprzedał ją, jeszcze zanim tu przyjechałem, chyba w latach pięćdziesiątych, jakiemuś obcokrajowcowi, co nie spodobało się tutejszym mieszkańcom. To dochodowe gospodarstwo i ludzie uważali, że zyski powinny zasilić lokalną gospodarkę. Johnowi został dom i parę hektarów. W końcu ludzie pogodzili się ze stratą, ale nigdy do końca nie wybaczyli Armstrongom. - Tom otworzył drzwi gabinetu. - Kiedy John sprzedał resztkę ziemi temu samemu nabywcy, cała sprawa wybuchła na nowo. Nawet odbyło się kilka wieców i wysłano petycję do władz.

- Ale dlaczego? Przecież to prywatna własność.

- Owszem, ale dom jest wpisany na listę zabytków. To prawdziwy skarb architektury. Zgodnie z ogólnym odczuciem, powinien zostać odrestaurowany i wykorzystany na cele publiczne. A tak tylko niszczy. Z biegiem lat sprawa przycichła, ale teraz wszystko pewnie zacznie się od nowa, bo z tego, co wiem, ojciec Jacka jest umierający.

- Armstrong to dość popularne nazwisko, ale... - Amanda nie mogła sobie przypomnieć, żeby ktoś w jej obecności wspominał o rodzinie chirurga.

- Musiałaś słyszeć o Ashcroft - wyjaśnił Tom.

- Ashcroft? Chyba żartujesz! - O mało nie przysiadła z wrażenia.

Tom uśmiechnął się słabo i otworzył przed nią drzwi prowadzące na oddział.

- No, dość już tych plotek. Lepiej chodźmy zobaczyć naszych nowych pacjentów, bo pewnie nie mogą doczekać się obiecanych lodów.

Dzieci były najwyraźniej podniecone szpitalnym otoczeniem, w którym się znalazły. Najtrudniej było okiełznać sześciolatniego Jasona Cottera. Chłopiec od trzeciego roku życia tak często zapadał na anginę, której towarzyszyła wysoka gorączka powodująca zagrażające życiu drgawki, że lekarze uznali usunięcie migdałków za niezbędne. Dzięki pomocy pani Cotter i Amandy Tom zdołał go w końcu zbadać, a uznawszy, że nie ma przeciwwskazań do wykonania zabiegu, zlecił siostrze Colleen przygotowanie małego do operacji.

Kolejni pacjenci, dziesięcioletnia Jane i młodzieniec uskarżający się na powtarzające się napady bezdechu, na szczęście okazali się mniej kłopotliwi. Wykonując rutynowe czynności poprzedzające pierwszy zabieg, Amanda wróciła myślami do rozmowy z Tomem.

Ashcroft! Ten owiany tajemnicą, stary dom zawsze wzbudzał jej zainteresowanie. Położony nad rzeką Ashburton, na skraju miasteczka, często stanowił cel jej wycieczek z Ralphem w czasach, kiedy pies jeszcze lubił długie spacerować.

Do ciężkiej żeliwnej bramy ogrodu prowadził majestatyczny, kamienny most spinający brzegi rzeki. Ogromna piętrowa rezydencja tonęła w gęstwie starodrzewu, kryjącym ją przed wścibskimi spojrzeniami przechodniów. Był to bodaj największy prywatny dom w okolicy i jak słyszała, od chwili ukończenia budowy w 1860 roku, należał do tej samej rodziny. Bez wątpienia nierozzerwalnie wrosł w miejscowy krajobraz, stanowiąc znakomite świadectwo lokalnej historii.

Mimo że dom stanowił miejscową atrakcję, nikt nigdy nie wspominał o jego właścicielach. Z biegiem lat Amanda doszła do przekonania, że stoi pusty, jakby pogrążony we śnie, i czeka na nowych mieszkańców.

Kiedy Jack pojawił się w umywalni, by przygotować się do zabiegu, przyjrzała mu się z zaciekawieniem. On jednak nie dał jej szansy na rozpoczęcie rozmowy.

- Co to za okropny hałas? - mruknął niechętnie.

Rzeczywiście, z sąsiedniej sali dobiegały przeraźliwe wrzaski.

- Najwyraźniej mały Jason nie jest zachwycony pobytem w szpitalu - wyjaśniła.

Jack szorował ręce z niczym nie uzasadnionym impetem.

- Czy naprawdę nikt nie potrafi uciszyć tego smarkacza? - wybuchnął nagle, sięgając po ręcznik.

Amanda podała mu fartuch. Zachowanie chirurga przypomniało jej o utarczce, jaką stoczyła z nim dzień wcześniej w sprawie Chloe i jej córki.

- Nie bardzo lubi pan dzieci, prawda?

- Gdybym je lubił, zostałbym pediatrą.
- Skąd więc zainteresowanie położnictwem?
- To czysto zawodowa ciekawość.
- Tak też sądziłam.
- Co pani przez to rozumie?

Poczuła lekkie zmieszanie, lecz bynajmniej nie zamierzała się teraz wycofać. Niech pan Armstrong zrozumie, że ona nie zamierza padać przed nim na kolana.

- Uważam, że pańska wczorajsza decyzja, żeby zabrać Chloe Worbeton dziecko, była nie do przyjęcia.

- Raczy pani pamiętać, że zarówno pacjentka, jak i jej matka znajdowały się pod wpływem silnego stresu.

- Narodziny dziecka zazwyczaj wywołują silne emocje. Według mnie, to normalne - odparowała Amanda.

- Od początku było wiadomo, że dziecko przeznaczone jest do adopcji. Wszelka więc, jaka mogłaby się wytworzyć między nim a matką bezpośrednio po porodzie, mogłaby utrudnić dalszą procedurę.

- Bzdura. To właśnie przez próby oszczędzenia matkom rzekomych cierpień ich ból staje się jeszcze trudniejszy do zniesienia.

- Czyżby uważała pani, że każda nastolatka, która urodzi dziecko, powinna je zatrzymać, zrujnować sobie życie i perspektywy na przyszłość? A co z bezdzietnymi małżeństwami, które latami czekają na możliwość adoptowania niemowlęcia?

- Niczego takiego nie powiedziałam. Uważam tylko, że matka powinna mieć prawo do podjęcia świadomej decyzji. Czyżbyśmy mieli wrócić do czasów ciemnogrodu, kiedy niechciane dzieci po prostu znikwały bez śladu?

Ku zdziwieniu Amandy chirurg roześmiał się ze szczerym rozbawieniem.

- Doprawdy nie rozumiem, jakim cudem tak niewielka różnica zdań mogła aż tak panią do mnie zrazić.

- Odpowiedzialność za stan psychiczny nie jest kwestią małej wagi. - Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. - Poza tym zaczynam się zastanawiać, jak daleko ta niewielka różnica zdań może nas zaprowadzić. Słyszałam, że przybył pan do Ashburton z powodu zobowiązań rodzinnych. Obawiam się jednak, że zobowiązania wobec pacjentów mają dla pana zdecydowanie mniejsze znaczenie.

Oczy Jacka pociemniały z gniewu.

- I co jeszcze pani słyszała, siostró Morrison? - zapytał, wiążąc maskę chirurgiczną z tyłu głowy.

Amanda sięgnęła po swoją maskę, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi.

- Domyślam się, że miejscowy magiel aż huczy od plotek - dodał z sarkazmem. -
Czego innego można się spodziewać po takiej dziurze?

Podążając za lekarzem do sali zabiegowej, Amanda aż kipiała ze złości. Nagle Jack odwrócił się niespodziewanie i wycedził przez zęby:

- Przyczyna mojego pobytu w Ashburton jest moją prywatną sprawą i absolutnie nie pani do tego. Poza tym nie życzę sobie żadnych pouczeń ze strony pielęgniarki. Czy wyrażam się jasno?

- Aż nadto - parsknęła. To jasne jak słońce, dodała w duchu, że straszny z pana drań, panie Armstrong.

Jeśli Tom Kearney czy którakolwiek z pielęgniarek słyszeli wymianę zdań w umywalni, nie dali po sobie nic poznać. Tom zachowywał się ze zwykłym spokojem, a młodsze pielęgniarki nie spuszczały oczu z przystojnego chirurga.

Amanda asystowała przy operacji w kompletnym milczeniu. Pewną ręką podawała i odbierała narzędzia z dłoni operatora. W końcu zabieg dobiegł końca i Jack, zdejmując rękawiczki, odsunął się od stołu.

- Bądź tak miły, Tom, i wybudź go na tyle, żebym nie musiał więcej słuchać jego wrzasków - powiedział i bez słowa podziękowania wyszedł z sali.

Młodsze pielęgniarki wymieniły zdziwione spojrzenia. Amanda zacisnęła usta i zawijała w chusty zużyte narzędzia. Postanowiła dokładnie przestudiować grafik na następne dni. Może uda się jej tak ustawić dyżury, że zdoła uniknąć dalszych kontaktów z nieznośnym chirurgiem.

Na razie, żeby nie narażać się na ciąg dalszy nieprzyjemnej wymiany zdań, oddelegowała jedną z pielęgniarek do pomocy Jackowi w umywalni, a sama szykowała się do kolejnych zabiegów. O pierwszej po południu wszystkie planowane operacje mieli za sobą. Mimo że minęła już pora lunchu, postanowiła wpaść przynajmniej na chwilę na geriatrię, by odwiedzić Dorothy.

Staruszka jak zwykle zajęta była robótką. Właśnie odwijała z motka długą nici jasnozielonej włóczki.

- Moja droga, mogłabyś nawlec mi igłę? I nalej sobie herbaty, jeśli ci nie przeszkadza, że trochę już wystygła.

- Nie przeszkadza mi - zapewniła ją Amanda, ujmując między palce koniuszek nici.

Wciąż nie mogła się nadziwić, że mimo tak podeszłego wieku Dorothy nadal świetnie daje sobie radę z igłą.

Co prawda drżące, zdeformowane przez reumatyzm dłonie poruszały się powoli, lecz z wielką dokładnością, i równusieńkie ścięgi na płótnie prezentowały się wręcz doskonale. Wyszywanka przedstawiała ogród ze skomplikowaną płataniną drzew, krzewów i kwiatów. Nawlekając igłę, Amanda zauważyła ze zdziwieniem, że nie może opanować drżenia palców.

Czyżby scysja z Jackiem aż tak wyprowadziła ją z równowagi?

- Miałaś ciężkie przedpołudnie? - Zdenerwowanie pielęgniarki nie uszło uwagi starszej pani.

- Owszem. I chyba mam przed sobą trzy ciężkie miesiące. Słyszałaś, że szpital przyjął chirurga na zastępstwo?

- Naprawdę? To może powinnam poprosić, żeby obejrzał mi stopę. Myślisz, że potrafi mi pomóc?

- Jest całkiem kompetentny, tylko nie potrafimy się dogadać. To chyba konflikt osobowości. Zdażyliśmy się już posprzeczać.

- Niemożliwe. A kiedy zaczął pracę?

- Wczoraj.

- To kiedy zdażyliście się pokłócić?

- Też wczoraj, a potem jeszcze raz, dzisiaj rano.

- To rzeczywiście nie najlepszy początek.

- Właśnie. - Amanda nagle poczuła łzy napływające do oczu. Nie mogąc powstrzymać płaczu, zaczęła nerwowo szukać w kieszeni chusteczki. Dorothy sięgnęła do saszetki z niemi i podała jej własną, świeżo wyprasowaną chustkę.

- Aż tak cię zdenerwował? O co wam poszło? Amanda wytarła nos i w milczeniu patrzyła przed siebie.

- Mówiłam ci, że przypominasz mi moją babcię? - zapytała po chwili.

- Wielokrotnie.

- Bo widzisz - zaczęła, sprawdzając, czy nie ma nikogo w pobliżu - miałam siedemnaście lat, kiedy zaszłam w ciążę. Rodzice wyrzucili mnie z domu. To znaczy ojciec mnie wyrzucił, a mama nie chciała się mu przeciwstawić. Wtedy babcia wzięła mnie do siebie i w ten sposób znalazłam się w Ashburton. Przez cały czas dodawała mi otuchy. Była naprawdę cudowna. Gdybym wróciła z dzieckiem do domu, na pewno pomogłaby mi je wychować.

- Ale nie wróciłaś?

- Niestety, dziecko zmarło zaraz po porodzie - wyjaśniła, ocierając łzy. - To była dziewczynka. Nawet nie pozwolili mi jej zobaczyć, potrzymać. - Podniosła wzrok i ze zdziwieniem stwierdziła, że oczy staruszki też wypełniły się łzami. - Wczoraj pewna nastolatka urodziła u nas córeczkę. Wezwałam tego nowego chirurga, żeby odebrał poród. Wiedział, że dziecko przeznaczone jest do adopcji, więc kazał mi od razu odnieść je do sali noworodków, nie dając matce szansy, żeby choć raz je wzięła w ramiona. Okropnie mnie to zezłościło.

- To zrozumiałe. Miałaś wszelkie podstawy do złości.

- Dzisiaj jeszcze raz wróciliśmy do tej sprawy. I teraz wydaje mi się, że nie będę w

stanie z nim pracować. Nie potrafię zrozumieć, jak lekarz może być aż tak obojętny na to, co czują pacjenci.

- Sądzę, że żaden mężczyzna nigdy nie zrozumie naturalnej potrzeby matki, żeby przytulić swoje nowo narodzone dziecko.

Dorothy powiedziała to z takim smutkiem w głosie, że Amanda aż się zaniepokoiła. Wiedziała, że pacjentka nie ma dzieci. Czyżby to właśnie zasłyszana historia tak bardzo ją poruszyła? Pogładziła czule dłoń staruszki.

- Przepraszam, naprawdę nie chciałam cię zmartwić. Jediną osobą, z którą mogłabym porozmawiać na ten temat, była moja babcia. Teraz nie mam nikogo, kto by mnie zrozumiał. Niepotrzebnie cię zdenerwowałam.

- Bardzo dobrze zrobiłaś. - Dorothy zdążyła się już opanować. - A ta dziewczyna? Mogła w końcu przytulić córeczkę?

- Tak. - Amanda w końcu się uśmiechnęła. - Zarówno ona, jak i jej mama. Zajrzę do niej po południu. Chciałabym, żeby wiedziała, że może liczyć na pomoc.

Chloe spała, a ustawione obok plastikowe niemowlęce łóżeczko było puste. Siostra oddziałowa skierowała Amandę do ogrodu. Tam, na ławeczce, siedziała Brenda Worbeton, trzymając wnuczkę w objęciach. Musiała właśnie skończyć karmić małą, bo stojąca na ławce butelka ze smoczkiem była prawie pusta.

- Apetyt dopisuje?

- Tak. Chyba zaakceptowała butelkę. Uznałyśmy, że lepiej, żeby Chloe nie karmiła piersią.

Amanda skinęła głową. Pomyślała przy tym, że następnego dnia powinna jednak porozmawiać z młodą matką. Wciąż pamiętała ból wypełnionych mlekiem piersi. Brenda zapewne uznała milczenie pielęgniarki za brak zrozumienia, bo natychmiast pospieszyła z wyjaśnieniami.

- Chcę jak najlepiej dla Chloe. Sama zaszłam w ciążę w wieku dziewiętnastu lat. Nie miałam męża, a kiedy postanowiłam, że nie oddam dziecka, rodzina całkiem się ode mnie odwróciła. Wiem, jak trudno jest pożegnać się z marzeniami, planami na przyszłość. Nie móc znaleźć dobrej pracy, wyjechać na wakacje, pójść zabawić się z przyjaciółmi. W dodatku w takim małym miasteczku jak nasze samotna matka nie ma szans na wyjście za mąż i ułożenie sobie życia.

- Mogę to sobie wyobrazić. - Amanda uśmiechnęła się ze współczuciem. - Ale z drugiej strony masz powody do dumy. Samotnie wychowałaś wspaniałą córkę. Kochacie się, a to jest najważniejsze.

- Nie żałuję, że ją zatrzymałam, jeśli o to ci chodzi. Jest najwspanialszym darem, jaki otrzymałam od życia. Jednak nie chciałabym, żeby musiała cierpieć z powodu tylu wyrzeczeń.

- Tylko że tak czy inaczej, cierpienie jej nie ominie. I nigdy nie zapomni o córce - przekonywała Amanda łagodnie. - Nawet jeśli kobieta straci dziecko, nie potrafi przestać o nim myśleć. Zastanawia się, czy miałyby już pierwszy ząbek, czy już umiałyby chodzić, kiedy po raz pierwszy powiedziałoby „mama”. Każda rocznica urodzin staje się dniem żałoby. A kiedy odda dziecko do adopcji, często przygląda się obcym maluchom, zastanawiając się, czy to aby nie jej.

- To akurat nam nie grozi. Małżeństwo, które chce adoptować małą, pochodzi z Christchurch. Mamy pozostawać z nimi w kontakcie. Obecnie nie robi się już takich utrudnień jak kiedyś.

- Wiem. I wcale nie twierdzę, że przekazanie dziecka do adopcji jest złym wyjściem. Tyle że Chloe musi zdawać sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji tego kroku i otrzymać wsparcie niezależnie od tego, jaką podejmie decyzję. Bo jest to decyzja, z którą przyjdzie jej żyć przez wszystkie następne lata.

- Zdaję sobie z tego doskonale sprawę. Historia lubi się powtarzać, prawda?

- Niezupełnie. Między tobą a Chloe jest pewna różnica.

- A jakaż to?

- Ty nie miałaś oparcia w rodzinie. Chloe ma ciebie.

- Jestem już za stara, żeby wychowywać kolejne dziecko.

- Ile masz lat?

- Trzydzieści pięć.

- Przecież wiele kobiet w twoim wieku dopiero decyduje się na pierwsze dziecko - roześmiała się Amanda.

- Może po prostu czuję się za stara. Wiesz, ta ciąża stanowiła prawdziwy wstrząs w naszym życiu. Kiedy Chloe powiedziała mi, że spodziewa się dziecka, było już za późno na aborcję. Trudno, uznałyśmy, że musi urodzić. Ale tylko tyle. Obie chciałyśmy mieć to wszystko jak najszybciej za sobą, a teraz...

Amanda uniosła brwi.

- Teraz trzymam to dziecko na ręku - ciągnęła Brenda - i widzę, jakie jest śliczne. Moja mała wnuczka, córka mojej córki. Byłoby mi o wiele łatwiej, gdyby mi jej nie pokazano.

- Nieprawda - zaprotestowała Amanda z przekonaniem.

- Ale to takie trudne.

- Wiem, ale pamiętaj, że macie jeszcze co najmniej tydzień na podjęcie ostatecznej decyzji. Daj Chloe tyle czasu, ile potrzebuje. Pozwól jej mówić. Postaram się, żebyście mogły porozmawiać z kimś bardziej kompetentnym w tych sprawach ode mnie. Tylko nie decydujcie pochopnie.

Amanda delikatnie pogładziła niemowlę po główce. Nagle rozległ się taki huk, że Brenda aż podskoczyła.

- Dobry Boże, co to było?

- Nie mam pojęcia. - Zaczęły nasłuchiwać, ale wokół znowu zapanowała cisza. - No, muszę wracać do pracy. Powiedz Chloe, że później wpadnę ją odwiedzić.

W wejściu do budynku prawie zderzyła się z Colinem Garrettem, jednym z dwóch zatrudnionych w szpitalu internistów, który właśnie biegł na dwór, pchając przed sobą wózek wypełniony medycznym sprzętem. Chwilę później minęła ją pielęgniarka pędząca gdzieś z przenośnym defibrylatorem w ręku.

- Co się dzieje? - krzyknęła Amanda do rejestratorki. Karen zwróciła w jej stronę pobladłą twarz.

- Był straszny wypadek. Ciężarówka wioząca owce wpadła na Southern Express.

Amanda znieruchomiała z wrażenia. Southern Express to jedyny pociąg pasażerski kursujący do Ashburton. Jako najpopularniejszy środek publicznego transportu, bywał mocno zatłoczony. Aż bała się myśleć o rozmiarach katastrofy.

- Proszę się ruszyć, siostró. Jest mi pani potrzebna. Ostry ton Armstronga sprowadził ją z powrotem na ziemię.

Pobiegła za chirurgiem, z trudem dotrzymując mu kroku.

- Weźmiemy mój samochód. Zderzenie miało miejsce na skrzyżowaniu przy szkółce leśnej. Wie pani, gdzie to jest?

- Proszę skrócić w prawo, a potem w lewo i dalej z dziesięć kilometrów główną drogą.

ROZDZIAŁ TRZECI

W czasie swej prawie dziesięcioletniej kariery Amanda widziała niejednego przykry widok, ale potworność tego, co zobaczyła na miejscu wypadku, nie dawała się z niczym porównać.

Olbrzymia, po brzegi wyładowana ciężarówka wbiła się w bok jednego z wagonów, tworząc wyrwę wypełnioną płataniną powyginanego żelastwa, strzaskanych szyb i tego, co pozostało z siedzeń dla pasażerów. Sam wagon, który mimo iż częściowo się wykoleił, nie odczepił się od reszty składu, tylko kiwał się teraz niebezpiecznie pod ciężarem próbujących wyskoczyć na zewnątrz pasażerów. Zewsząd dochodziły jęki i krzyki. Ciężarówka ze zmiądzoną kabiną kierowcy, któremu zapewne nie udało się ująć z życiem, leżała przewrócona obok pociągu, a zakrwawione owce rozbiegły się wokół, becząc jak oszalałe.

Pierwsza karetka i straż pożarna zdążyła już przybyć na miejsce. Policjanci robili, co mogli, by zaprowadzić porządek wśród wystraszonych pasażerów, którzy wyszli z wypadku bez szwanku.

- Chodź. - Jack pociągnął Amandę w kierunku grupki ludzi zgromadzonych przy roztrzaskanym wagonie. Po drodze zatrzymał ich sanitariusz.

- Zaczekajcie. Najpierw muszą zabezpieczyć wagon, bo w każdej chwili może się przewrócić - krzyknął i podał Amandzie pomarańczową kamizelkę z odblaskowymi pasami na plecach. - Włóż to, żebyśmy mogli z daleka poznać, że jesteś członkiem ekipy ratunkowej.

- Dzięki. Daj jeszcze jedną panu Armstrongowi. - Dopiero teraz zauważyła, że lekarz zdążył się już przebrać po zabiegach i znów ma na sobie garnitur. - Doktor Armstrong jest naszym nowym chirurgiem - oznajmiła. - To Robert Bayliss, który pracuje u nas jako sanitariusz, doktorze.

Chirurg uściśnął dłoń mężczyzny.

- Mów mi Jack. - Zdjął marynarkę i krawat, podwinął rękawy koszuli i włożył kamizelkę z napisem „Lekarz” na plecach. - Jakie macie zasady postępowania w takich przypadkach?

- Powiadomiliśmy Christchurch. W ciągu dwudziestu minut powinny nadjechać następne karetki. Helikopter jest już w drodze, a w razie potrzeby dostaniemy posiłki z wojska.

- Wiadomo już, ilu jest poważnie rannych?

- Jeszcze nie. Najpierw musimy wyprowadzić lżejsze przypadki. W wagonie było około czterdziestu osób, a do tego dojdą jeszcze poszkodowani z reszty składu.

Strażacy zdążyli unieruchomić już wagon. Dali zebranych znać, by odsunęli się na bok, i zaczęli wyciągać rannych. Klęcząc na ziemi, Colin Garrett zaciskał chustę na nodze nieprzytomnej kobiety, by zatamować krew tryskającą z tętnicy. Tom Kearney przeciskał się

z butlą z tlenem między grupą ludzi otaczających kolejną nieprzytomną ofiarę. Coraz więcej uwolnionych z wraku pasażerów kładło się na ziemi, łkając z bólu i przerażenia.

- Tutaj, doktorze! Ktoś ma kłopoty z oddychaniem - zawołał strażak ze środka wagonu.

- Tylko uważajcie, żeby się nie pokaleczyć.

Próbując się przedostać do środka przez płataninę pociętej blachy i połamanych siedzeń, Amanda potknęła się i gdyby Jack jej nie podtrzymał, zapewne nadziałyby się na ostry kawał szkła sterczący z podłogi.

- Dzięki.

- Uważaj, jak stawiasz stopy. Nie potrzebujemy kolejnych ofiar. I, na Boga, włóż wreszcie rękawiczki, kobieto!

Poszkodowany leżał za siedzeniem, o które zahaczyła nogą Amanda. Dolną część ciała miał uwięzioną w rumowisku, głowę obróconą nienaturalnie w stronę ściany. Oddychał z wyraźnym trudem. Jack szybko obejrzał głowę ofiary i zbadał źrenice. Miał tak mało miejsca, że ledwie mógł się poruszać.

- Na głowie nie ma widocznych śladów obrażeń - oznajmił, nie odwracając głowy. - Szybko, zaczyna się dusić.

- Dopóki nie przybędą posiłki, nie damy rady go wyciągnąć - poinformował strażak stojący za plecami Amandy.

- W takim razie musimy go intubować na miejscu. Co za cholerna pozycja! Amando, podaj mi laryngoskop.

Natychmiast wykonała polecenie, a Jack musiał się prawie położyć, by wykonać zabieg. Nad jego głową ktoś próbował przepchnąć nosze dla kolejnej ofiary. Niechcący postawił nogę na stopie chirurga, który aż syknął z bólu, lecz nawet nie drgnął, skoncentrowany na niezwykle trudnym zadaniu umieszczenia rurki w tchawicy pacjenta.

- Stetoskop! - zawołał po chwili, sięgając za siebie. Amanda podała mu zwinięte słuchawki. - W porządku - usłyszała po chwili. - Szmer prawidłowy po obu stronach. Podłączymy mu teraz kroplówkę. Cholera, jak tu ciasno! Nie wiem, czy nie doszło do zgniecenia organów wewnętrznych. Warkot silnika nadlatującego śmigłowca zagłuszył odgłosy dobiegające z zewnątrz pociągu. Strażacy wreszcie wyważyli drzwi na końcu wagonu. Tam też ktoś najwyraźniej potrzebował pomocy.

- Doktorze, tutaj! Szybko!

Amanda wyjęła z dłoni Jacka przewód kroplówki, którego koniec właśnie umieścił w przedramieniu ofiary. Podłączyła pojemnik z płynem infuzyjnym i rozejrzała się wokół. Tuż za nią stała młoda policjantka.

- Proszę to trzymać. O, tak! - Wcisnęła w jej dłonie pojemnik i ruszyła w ślad za lekarzem.

Jack był mniej więcej w połowie drogi do kolejnego pacjenta. Nagle znieruchomiał,

jakby nie był w stanie zrobić kolejnego kroku. To niemożliwe, żeby się nagle załamała, pomyślała. Przecież dopiero co wykonał kawał dobrej roboty.

- Wezwijcie weterynarza, żeby coś zrobił z tymi owcami! - zawołał ktoś tuż przy jej uchu.

Amanda zrobiła kolejne dwa kroki, znalazła się za Jackiem i nagle zamarła z przerażenia. Pod siedzeniem, w nienaturalnie wygiętej pozycji, leżało maleńkie dziecko z rączką wyciągniętą w ich kierunku.

- Już nie możemy mu pomóc. - Lekarz wyprostował się i odwrócił głowę w stronę pielęgniarki. Ich spojrzenia spotkały się tylko na drobny ułamek sekundy, lecz to wystarczyło, by Amanda zrozumiała, jak bardzo się myliła, posądzając Jacka o obojętność.

Młoda kobieta, być może matka dziecka, którą znaleziono na końcu wagonu, również nie przeżyła wypadku.

Posiłki z Christchurch najwyraźniej już przybyły na miejsce katastrofy, bo pojawili się kolejni sanitariusze z noszami, a grupa strażaków zajęła się uwalnianiem z pułapki mężczyzny, którego Jack intubował kilka minut wcześniej.

Amanda stanęła w drzwiach wagonu i wyjrzała na zewnątrz. Sceneria wokół miejsca katastrofy zmieniła się zupełnie. Wielki transporter policyjny, stojący nieopodal wagonu, stanowił centrum dowodzenia. Między leżącymi na trawie ludźmi uwijali się widoczni z daleka, dzięki odblaskowym kamizelkom, lekarze i pielęgniarki z Christchurch. Domyśliła się, że w naprędcie wzniesionym namiocie zorganizowano szpital polowy, w którym udzielano poszkodowanym pierwszej pomocy. Sanitariusze właśnie wnieśli do środka kolejne nosze.

Amanda spojrzała w dół. Co prawda zabezpieczony wagon przestał się chybotać, ale wyjście znajdowało się ponad metr nad ziemią. Dzięki swemu imponującemu wzrostowi, Jack bez problemu zeskoczył na ziemię. Odwrócił się i zauważył wahanie Amandy.

- Połóż mi ręce na ramionach.

Chwycił ją mocno w talii i z łatwością uniósł. Zanim nogi Amandy sięgnęły trawy, ich spojrzenia się spotkały. Oboje szybko odwrócili głowy i pobiegli w kierunku namiotu. Właśnie startował jeden z przybyłych na miejsce katastrofy śmigłowców, karetki pogotowia jedna po drugiej odwoziły rannych, policjanci otoczyli miejsce katastrofy kolorową taśmą. Nawet owce zostały już wyłapane i tylko nieliczne beczwały żałośnie wewnątrz przyczepy strzaskanej ciężarówki.

Jack podszedł do lekarza, który dowodził akcją ratunkową w namiocie, i poprosił o dalsze instrukcje.

- Mamy dwóch ciężko rannych, których staramy się na tyle ustabilizować, żeby nadawali się do transportu. Postarajcie się jak najszybciej wrócić do szpitala i przygotujcie się do operacji. Podejrzewam pęknięcie śledziony. - Mężczyzna wskazał na stojące nieopodal

nosze. - Uszkodzenia lewej części ciała. Rzuciło nim o ścianę wagonu i nadział się na klamkę. Pęknięte dolne żebra. Powłoki brzuszne napięte. Utrudnione oddychanie.

Mimo podłączonych kroplówek, stan pacjenta wyraźnie się pogarszał.

- Nie ma na co czekać. Pojadę z nim karetką - zdecydował Jack.

Amanda odsunęła się, by przepuścić ratowników wynoszących nosze. Widziała, jak Jack daje znaki Tomowi, który natychmiast zajął miejsce przy kierowcy. Sanitariusz prawie zasunął już drzwi karetki, kiedy chirurg wystawił głowę ze środka.

- A ty na co czekasz? Wskakuj. Będziesz mi potrzebna.

Amanda była dumna z całego zespołu bloku operacyjnego. Co prawda, przypadki ciężkich urazów nie były w Ashburton General aż tak rzadkie, jak można by przypuszczać, ale zabieg usunięcia uszkodzonej śledziony wymagał szczególnych umiejętności. Kiedy Jack zrobił pierwsze nacięcie, spod napiętych powłok brzusznych trysnęła fontanna krwi, kompletnie zalewając pole operacyjne. W tej sytuacji ssaki i tampony, którymi Amanda i dwie młodsze pielęgniarki osuszały ranę, okazały się niewystarczające i chirurg musiał operować przy bardzo ograniczonym polu widzenia.

Colin Garrett sprawował nadzór nad transfuzją, Tom monitorował ogólny stan pacjenta.

- Więcej tamponów - polecił Jack spokojnie.

Rękawy fartucha i maska osłaniająca mu twarz ociekały krwią. Amanda starała się wręcz wyprzedzać jego polecenia, bezbłędnie podając coraz to inne narzędzia. Z podziwem patrzyła na dłonie chirurga. W zalanym krwią polu operacyjnym z trudem rozróżniała kształty poszczególnych organów. Jack operował właściwie na ślepo.

- Mam wiązadło. Skalpel. Dziękuję. - Podał jej zakrwawione narzędzie. - Zaraz podwiążemy niniejsze naczynia. Już. Teraz muszę dostać się do tętnicy.

Chwilę później zażądał kleszczy i Amanda poczuła, że powoli opuszcza ją napięcie. Jack zlokalizował tętnicę i podwiązał ją mocną jedwabną nicią. Krew nareszcie przestała strumieniem zalewać ranę, śledziona nieco się obkurczyła i asystujący zespół wreszcie zdołał osuszyć pole. Chirurg pracował bez wytchnienia. W końcu zdołał usunąć uszkodzony organ i podwiązawszy wszystkie naczynia, zamknął ranę.

- Ciekawe, jak zdołają to wszystko posprzątać? - Rozejrzał się wokół. - A wydaje mi się, że pod drzwiami czeka kolejka pacjentów.

- Pójdę sprawdzić - zaproponował Colin.

Jack właśnie założył ostatni szew i odetchnął z ulgą.

- Ciśnienie skurczowe 110 i idzie do góry - poinformował anestezyjolog.

- Słuchajcie, tam panuje atmosfera jak u cioci na imieninach. - Colin właśnie wrócił na blok operacyjny. - W poczekalni czekają dziesiątki pacjentów z drobnymi obrażeniami, a między nimi uwijają się panie z jakiejś organizacji i rozdają kanapki i zupę. Zdaje się, że

poważne przypadki odtransportowano do Christchurch. - Obejrzał się na Amandę, która właśnie liczyła instrumenty. - Nikt z radiologii ani przychodni przyszpitalnej nie poszedł do domu. Powiedzieli, że zostaną, dopóki będzie trzeba. Ale możesz potrzebować dodatkowych ludzi na noc, bo coś mi się zdaje, że nie będziemy mieć żadnego wolnego łóżka.

Dochodziła ósma wieczorem, kiedy ostatni pacjent został opatrzony i odesłany do domu. Jack zdjął rękawiczki. Ileż to par dziś zużył od czasu porannego zabiegu usunięcia migdałków? Miał wrażenie, że przeniósł się gdzieś w miejscu i w czasie. Jak to możliwe, że jeszcze przed południem szpital Ashburton General wydawał się najmniej interesującą placówką służby zdrowia na świecie? Tymczasem chyba w całej karierze nie zdarzyło mu się spotkać w ciągu jednego dnia z taką różnorodnością przypadków jak dzisiaj.

Przeciągnął się, żeby choć trochę rozprostować kości. Czekало go jeszcze złożenie dwóch pękniętych kończyn, ale zdecydował, że można z tym poczekać do rana, zwłaszcza że po wstępnym opatrzaniu i podaniu środków przeciwbólowych pacjenci zostali przeniesieni na oddział, gdzie zmęczeni wcześniejszymi przeżyciami, z pewnością zdążyli już zasnąć.

Zdjął białą, szpitalną marynarkę i przerzucił ją przez ramię. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie zostawił garnitur i krawat, ale przestało go to obchodzić. Wyszedł na korytarz. W szpitalnej kuchni ktoś wciąż postukiwał naczyniami. Zza drzwi dobiegał wyraźny głos Amandy:

- Niech pani już idzie do domu, pani Golder. Była pani wspaniała, ale już wszystko jest opanowane. Niech pani da odpocząć nogom. Bardzo dziś bołą, prawda?

- Oj, bołą, Mandy, ale przecież muszę przygotować wszystko do śniadania. Dawno nie mieliśmy tylu pacjentów.

Jack otworzył drzwi i wszedł do kuchni.

- Jestem ci potrzebna? - zapytała Amanda na widok chirurga. W czasie dzisiejszego zamieszania jakoś automatycznie zaczęli zwracać się do siebie po imieniu. - Przepraszam, ale musiałam się zająć sprawami personelu. Trzeba było zadzwonić na pager.

- Nie. Skończyliśmy na dzisiaj. - Uśmiechnął się do kobiety stojącej obok Amandy. Pulchna i zaróżowiona, kucharka wyglądała, jak żywa reklama swoich wyrobów. - To zapewne pani należą się podziękowania za te wspaniałe rogaliki, które dostaliśmy dzisiaj na drugie śniadanie?

Pochwała natychmiast zjednała Jackowi przychylność szefowej kuchni. A mówili, pomyślała, że ten nowy chirurg jest zarozumiały i nieprzyjemny. Brednie.

- Miło mi pana poznać, doktorze. Dużo o panu słyszałam.

- Nie wątpię.

Amanda odnotowała ze zdziwieniem, że uwaga pozbawiona była ironii, a uśmiech na twarzy Jacka uczynił go wręcz czarującym.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu, pani Golder. Usłyszałem właśnie, że dokucz

pani ból w nogach.

Kucharka machnęła ręką.

- To nic takiego. Po prostu kwestia wieku.

- Pani Golder uskarża się na halluksy - wtrąciła Amanda.

- Proszę do mnie zajrzeć któregoś dnia, to może coś poradzimy. Załatwiłem już w życiu parę halluksów, i to z całkiem dobrym skutkiem.

- Co to, to nie. - Kucharka pokręciła głową. - Żaden chirurg nie zbliżył się do moich nóg z nożem w ręku. A teraz rzeczywiście pójdę już do domu. Do widzenia.

- Jeszcze raz dziękuję, że została pani tak długo.

Gdy zostali sami, Amanda spojrzała na Jacka ze zdziwieniem.

- Cóż to, szukamy zajęcia, doktorze? Czyżby operowanie halluksów było bardziej interesujące niż usuwanie migdałków?

- W życiu nie można mieć samych przyjemności. A poza tym dzisiaj na długi czas wyrobiliśmy już normę ciężkich przypadków.

- Tak, to był pracowity dzień. I chwilami przerażający, niestety. Dzięki Bogu, na co dzień nie mamy do czynienia z takim rozmiarem nieszczęścia. A przy okazji pozwól, że ci pogratuluję. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem twoich umiejętności.

- A ja waszych. - Rozejrzał się. - Można się gdzieś tu napić kawy?

- Proszę, nalej sobie. Sama muszę już lecieć, bo Ralph pewnie się niepokoi. Muszę dać mu kolację.

- Ach tak - rzekł głosem pozbawionym wyrazu. - A sam sobie nie weźmie?

- Nie. - Roześmiała się. Bynajmniej nie zamierzała wyprowadzać go z błędu. - To typowy samiec.

Jack jeszcze z godzinę kręcił się po szpitalu. Zajrzał na wszystkie oddziały, by sprawdzić, czy nikt z pacjentów nie wymaga doraźnej pomocy. Jeszcze raz napił się kawy. Zdawał sobie sprawę, że w ten sposób próbuje odwlec moment wyjścia do domu. Miał za sobą niezwykle dzień, który sprawił, że całkiem zmienił zdanie na temat Ashburton General. Obawiał się jednak, że powrót do starego mrocznego domu i spotkanie z ojcem znowu wywoła w nim przygnębienie.

Wyjechał za bramę szpitala i odruchowo skręcił w kierunku najbliższego pubu. Kupił sobie butelkę czegoś mocniejszego na poprawienie nastroju. Chłód wieczoru przypomniawszy mu o porzuconej gdzieś marynarce. Mimo wszystko nie żałował straty. Czuł, że ten dzień stanowił jakiś przełom w jego życiu, a marynarka była częścią tego, co zostawiał za sobą.

Przyjazny gwar rozmów i ciepło panujące w pubie sprawiły, że zamiast poprosić o coś na wynos, znalazł miejsce przy barze. Ludzie siedzący obok natychmiast przerwali rozmowy. Powinien się spodziewać, że znajdzie się w centrum zainteresowania. Mimo że jest tu nowy, wszyscy przecież wiedzą, skąd pochodzi. Rodzinny skandal sprzed lat pewnie nie poszedł w

zapomnienie.

Zamówił piwo i skinieniem głowy przywitał sąsiadów przy barze. Kątem oka spostrzegł Toma Kearneya, który, machając dłonią, zapraszał go do towarzystwa. Jack przecisnął się między stołkami. Obok Toma siedziała Amanda i pewien młody mężczyzna. Domyślił się, że to Ralph.

- Witaj, Jack. Poznaj Grahama Bakera.

- A gdzie Ralph? - zdziwił się.

- Został w domu. Zestarzał się i teraz nie przepada już za włączaniem się po pubach.

Uwagi chirurga nie uszło porozumiewawcze spojrzenie, jakie Amanda wymieniła z nieznajomym.

No cóż, pomyślał, takie romanse zdarzają się w małych miasteczkach. Choć z drugiej strony, Amanda nie wygląda na osobę lubiącą dwuznaczne sytuacje.

- Graham jest weterynarzem - wyjaśnił Tom. - Przez całe popołudnie uganiał się za tymi nieszczęsnymi owcami. Doszliśmy do wniosku, że po takim dniu należy nam się odrobina wytchnienia.

Po chwili Tom przeprosił ich i udał się do domu, a Jack podszedł do baru po kolejne piwo dla siebie i kieliszek wina dla Amandy. Kiedy wrócił, siedziała przy stoliku sama.

- Graham musiał wracać do domu, żeby pomóc żonie przy dziecku - poinformowała.

Gwizdnął po cichu. Gorzej, niż przypuszczał. Choć wiedział, że nie powinien się wtrącać, poczuł lekki przyływ irytacji.

- A co Ralph sądzi na temat Grahama?

Już wcześniej zauważył, że kiedy Amanda się uśmiecha, w jej policzkach tworzą się urocze dołeczki. A teraz w jej oczach igrały wyraźne iskierki rozbawienia.

- Ralph go wręcz uwielbia - zapewniła z przekonaniem. - Zresztą nie tylko on.

- Jak to? - Czyżby ten weterynarz cieszył się popularnością wśród mężów wszystkich swoich przyjaciółek?

- Naprawdę. - Amanda podniosła kieliszek do ust. - Co więcej, nie tylko psy go uwielbiają, ale i koty, konie, a nawet jedna stara wyleniała koza.

Jack sam nie wiedział, dlaczego nagle zrobiło mu się lekko na duszy.

- To znaczy, że Ralph jest psem?

- Oczywiście. - Otworzyła oczy najszerzej, jak umiała, by ukryć ogarniające ją rozbawienie. - To seter irlandzki. Skończył już jedenaście lat, a to dość dużo jak na tę rasę.

- Dlaczego tak go nazwałaś? To dziwne imię dla psa.

- Sam mi powiedział, że tak się nazywa.

- Słucham? - Jack omal się nie zakrztusił.

- Dostałam go, kiedy był małym szczeniakiem. Wiesz, jak szczekają takie maluchy? Ralf! Ralf! Było naprawdę śmiesznie, kiedy go pytałam o imię, a on odpowiadał: Ralph!

Jack roześmiał się. Miał wrażenie, że całe napięcie, jakiego doświadczył w ciągu ostatnich tygodni, nagle gdzieś wyparowało. W dodatku naprawdę świetnie się bawił w towarzystwie w tej młodej, pełnej życia kobiety.

Nagle poczuł jej dłoń na ramieniu. Odruchowo się odsunął, ale zauważył, że Amanda wcale na niego nie patrzy. Jej wzrok przykuł ekran telewizora ustawionego w rogu lokalu. W wiadomościach właśnie pokazywano relację z wypadku. W całym pubie zapadła cisza. Kiedy w wyrwie w boku wagonu pojawił się strażak z niewielkim zawiniątkiem na rękach, Amanda odwróciła wzrok. Dobrze wiedziała, czyje ciało znajduje się w środku.

Łzy zakręciły się jej w oczach. Reporter w telewizji snuł przypuszczenia na temat przyczyn wypadku, lecz Amanda nie słuchała, zatopiona w myślach. Nagle poczuła na rękę silną dłoń, która wyraźnie próbowała dodać jej otuchy. W całym pubie tylko oni dwoje rozumieli koszmar tego, co właśnie zobaczyli.

- Doskonale się dziś spisałaś, Amando. - Głos Jacka był cichy i łagodny.

- Ty też - odparła zmieszana. - Tylko szkoda, że twój powrót do Ashburton ma taki smutny początek.

- Czy ja wiem? - odparł po chwili namysłu. - W pewnym sensie właśnie dopiero teraz dotarło do mnie, że tu wróciłem. Do tej pory czułem się właściwie jak turysta.

Amanda skinęła głową.

- Tak, to duża różnica.

Ciekawe, co miała na myśli? Czy różnicę, jaką on właśnie odczuwał, czy też zmianę własnej opinii na jego temat? Przypomniał sobie nieszczęsną poranną scysję.

- Przepraszam za dzisiejszy poranek. Chyba wtedy jeszcze byłem turystą.

- Wybaczam, doktorze Armstrong - powiedziała z uśmiechem. - I witaj w Ashburton, Jack.

Wszedł do szpitala w znakomitym nastroju.

- Dzień dobry, Karen.

- Dzień dobry, Jack - odparła rejestratorka, odwzajemniając jego uśmiech.

Bezwiednie przyglądała długie jasne włosy i jeszcze przez chwilę patrzyła w ślad za chirurgiem, który właśnie zniknął w głębi korytarza. Nie mogła nadziwić się zmianie, jaka zaszła w nim w ciągu ostatniego tygodnia. Na przykład w ubraniu. W luźnych spodniach, rozpiętej pod szyją koszuli i skórzanej kamizelce wyglądał o wiele młodziej niż w garniturze. Poza tym zaczął się uśmiechać, i to tak, że mogłoby się wydawać, iż jego uśmiech przeznaczony jest tylko i wyłącznie dla adresata.

Jack zdjął kamizelkę i włożył na siebie białą szpitalną marynarkę. Karen zapewne poczułaby się rozczarowana, gdyby wiedziała, że jego myśli w tej chwili krążą wyłącznie wokół spraw zawodowych.

Miał przed sobą obchód, serię zabiegów, które zapewne całkowicie wypełnią mu

przedpołudnie, i długą listę pacjentów zapisanych na popołudnie. Poza tym tydzień spędzony w Ashburton General nauczył go, że w każdej chwili może zostać wezwany do wypadku.

Czasami wydawało mu się, że jest na pierwszej linii ognia. Nigdy dotąd nie czuł na barkach tak wielkiej odpowiedzialności, lecz musiał przyznać, że chętnie podjął wyzwanie i czerpał z nowych doświadczeń sporo satysfakcji. A jeszcze tydzień temu wyobrażał sobie, że będzie tu przychodził wyłącznie dla zabicia czasu.

Oczywiście, ta wyraźna poprawa nastroju wynikała po części z możliwości częstych kontaktów z siostrą Morrison. Grypa wciąż zbierała swe żniwo, toteż Amanda wciąż zastępowała nieobecne koleżanki na bloku operacyjnym i położnictwie. Nawet kiedy pracowali na różnych oddziałach, dzięki niewielkiemu rozmiarowi szpitala i tak mieli okazję do licznych spotkań. Jack nie szukał specjalnych okazji, ale chętnie korzystał ze sposobności, by zamienić z nią choćby kilka słów. Poza tym z przyjemnością obserwował Amandę przy pracy, a zwłaszcza sposób, w jaki traktowała pacjentów i współpracowników.

Wszyscy ją uwielbiali. Zawsze uśmiechnięta i chętna do pomocy, miała w sobie coś, co sprawiało, że cieszyła się powszechnym zaufaniem. W dodatku była taka śliczna! Gęste czarne loki opadały jej na ramiona, w ciemnych oczach stale zdawały się tańczyć przekorne iskierki, a okrągła buzia nie zmieniła się chyba od czasu, kiedy skończyła sześć lat. Mimo niezbyt wysokiego wzrostu była zgrabna, lecz nie za chuda. A przy tym wszystkim, dojrzała i nader inteligentna.

Jack jęknął w duchu i otworzył drzwi prowadzące na oddział.

Nie ma co ukrywać! Amanda jest po prostu niezwykle atrakcyjna i bardzo mu się podoba. Tyle że kiedy podpisywał kontrakt ze szpitalem, nie przewidywał takiego rozwoju wypadków. Miał tylko jeden cel, kiedy tu przyjechał: spełnić swój obowiązek i raz na zawsze rozliczyć się z przeszłością. Gdy tylko to osiągnie, pójdzie dalej własną drogą. Ale czy ktokolwiek może mieć mu za złe, że próbuje umilić sobie pobyt w Ashburton? Więc może jednak powinien umówić się z Amandą gdzieś poza szpitalem? Dowiedzieć się, czy ona choć w części odwzajemnia sympatię, jaką ją obdarzył?

Już pierwszy przypadek, z jakim zetknął się podczas obchodu, kazał mu wprowadzić zmiany do rozkładu dnia. Trzynastoletnia Wendy Page, przyjęta na obserwację dwa dni wcześniej z podejrzeniem zapalenia wyrostka, wymagała natychmiastowej operacji. W nocy gwałtownie wzrosła jej temperatura, a tępy ból brzucha, który dokuczał jej od jakiegoś już czasu, umiejscowił się teraz powyżej prawej pachwiny. Jack pogratulował przezorności pielęgniarkom, które na wszelki wypadek od poprzedniego wieczoru nie podały chorej jedzenia, i zlecił przygotowanie sali do zabiegu. Nie zamierzał czekać na wyniki kolejnego badania krwi. Ryzyko perforacji stało się zbyt duże.

Na szczęście u pozostałych pacjentów nie wystąpiły komplikacje. Kiedy Jack kończył obchód, Tom przygotowywał Wendy do operacji. Tym razem przy zabiegu asystowała Linda.

Podala chirurgowi szczypce z gazikiem zamoczonym w płynie odkażającym. Ten przetał skórę i wykonał nacięcie około pięciu centymetrów ponad pachwinę, tak żeby dziewczyna mogła w przyszłości ukryć bliznę pod bikini.

Odsunął się nieco, by umożliwić pielęgniarce zamknięcie krwawiących naczyń diatermią. Przyglądając się jej ruchom, musiał przyznać, że jest szybka i sprawna, ale daleko jej do biegłości Amandy, przy której zawsze odnosił wrażenie, że wręcz wyprzedza jego polecenia.

Ostrożnie rozchylił jelita i odsłonił nabrzmiąły organ. Podwiązał go właściwie bez dotykania, by uniknąć perforacji i zakażenia otrzewnej, i w końcu usunął go jednym wprawnym cięciem.

Mimo iż jej dzień wypełniony był prawie co do minuty, Amanda zadbała o to, żeby po południu poświęcić chociaż godzinę Dorothy, którą właśnie czekał pierwszy wywiad dla telewizji.

- Jak się czuje nasza bohaterka? - niepokoił się Kevin. Właśnie zaprowadził ekipę reporterów na taras, żeby mogli rozłożyć sprzęt.

- Jak dotąd, całkiem nieźle. - Amanda wciąż nie była zachwycona całym zamieszaniem wokół staruszki.

- Co przez to rozumiesz? Myślisz, że może nie dotrzeć do Nowego Roku?

- Siedemdziesiąt pięć dni to bardzo długo dla kogoś, kto ma już dziewięćdziesiąt dziewięć lat - odparła przekornie. - Ale na razie ten rozgłos chyba nawet się jej podoba. Pamiętaj jednak, że mam was wszystkich na oku - ostrzegła.

- Zgłosiło się jeszcze jakieś pismo kobiece. Też chcą przeprowadzić z nią wywiad. Przy okazji wspomnieli o dotacji na rzecz szpitala.

- Na razie chodźmy zobaczyć, jak jej idzie z tym pierwszym - rzekła Amanda ze śmiechem. - Ale muszę przyznać, że bardzo się starasz.

Rzeczywiście, Dorothy McFadden najwyraźniej dobrze się bawiła. Jej srebrne, rzadkie już włosy zostały specjalnie ułożone na tę szczególną okazję. Siedziała w fotelu, z nogami okrytymi pledem, a jej ramiona otulał ciepły, wełniany szal, który szczególnie przypadł producentce do gustu.

- Wspaniale - pochwaliła. - Proszę położyć robótkę na kolanach. W czasie rozmowy może pani nawet raz czy dwa przeciągnąć igłę. To stworzy taką przyjemną, rodzinną atmosferę. Czy ktoś mógłby napęścić ten dzbanek wrzątkiem? Chciałabym, żeby unosząca się nad nim para była dobrze widoczna na zdjęciach.

Przygotowania dobiegły końca i Amanda, w towarzystwie kilku pracowników oddziału, usiadła pod ścianą. Miała nadzieję, że ktoś ma na oku Jima Coopera. Staruszkowi zdarzało się często zdjąć z siebie wszystko oprócz kapelusza i ukazać w najmniej oczekiwanym miejscu, a Kevinowi zapewne nie o taką reklamę chodziło. Zaczęła

przysłuchiwać się rozmowie. Wiedziała, że Dorothy urodziła się w Szkocji pierwszego stycznia 1901 roku. Była najmłodsza z jedenaściorga rodzeństwa. Jej matka zmarła wkrótce po ostatnim porodzie, a Dorothy w wieku dziesięciu lat została oddana na służbę.

- Co sprowadziło panią do Nowej Zelandii? Dorothy odpowiadała cicho, jakby ważyła każde słowo.

Amanda odniosła wrażenie, że dziennikarka przeprowadzająca wywiad wolałaby, by rozmowa miała bardziej wartki przebieg, lecz na szczęście nie śmiała starszycie przerywać.

- Zaczęłam pracę jako pomoc w kuchni. Kiedy skończyłam czternaście lat, przeniesiono mnie na piętro. W tamtych czasach to był poważny awans. Zawsze starałam się robić nieco więcej, niż ode mnie wymagano. Czasem nawet wiele więcej, jak mi się teraz wydaje, ale dzięki temu cieszyłam się opinią doskonałej służącej. - Dorothy zawiesiła głos, jakby nagle nad czymś się zamyśliła.

- To miało miejsce jeszcze w Szkocji, prawda? A kiedy przybyła pani do naszego kraju?

- Właśnie, moja droga, do tego zmierzam. Moi pracodawcy mieli przyjaciół, którzy przybyli tu razem z pierwszymi osadnikami. Byli to bogaci ludzie, posiadali dużo ziemi i wielki dom, ale, szczególnie po wybuchu wojny, mieli kłopoty ze znalezieniem służby. Zaproponowali, że opłacą podróż komuś z dobrymi referencjami, kto chciałby u nich pracować. Miałam wtedy szesnaście lat i marzyła mi się wielka przygoda.

- I udało się?

- Słucham, moja droga?

- Pytam, czy rzeczywiście była to wielka przygoda? Dorothy sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała pytania.

Pochyliła się nad robótką i zaczęła powoli haftować. Dziennikarka rozejrzała się zaniepokojona, po czym zerknęła do notatek.

- Ostatnio zdecydowała się pani jeszcze raz odwiedzić Nową Zelandię. Dlaczego wybrała pani właśnie Ashburton?

Amanda wyczuła w powietrzu nagłą zmianę atmosfery. Czyżby ta młoda kobieta uważała, że ich miasteczko nie zasługuje na takie wyróżnienie? Ku radości zebranych Dorothy uśmiechnęła się tajemniczo.

- Moja droga, przecież tu właśnie wszystko się zaczęło. Czułam, że muszę ponownie odwiedzić to miejsce, zanim będzie za późno. To było takie brakujące ogniwo. Chciałam sprawdzić, czy uda mi się je wypełnić.

- Nie rozumiem. - Wyraz twarzy dziennikarki wskazywał, że nie jest przekonana, czy Dorothy jest przy zdrowych zmysłach.

- Proszę popatrzeć. - Staruszka powoli podniosła do góry robótkę. - Tu właśnie widzę swoje życie i życie innych.

Kamerzysta zrobił najazd na makatkę.

- Bo życie jest jak ten haft. Każdy ludzki krok jest jakby kolejnym wyszytym oczkiem. Popelniamy błędy, których się nie da poprawić. Jeśli to tylko małe błędy, nie będzie ich widać, bo zginą wśród innych ściegów. Ale nie da się ukryć braku kolorów - ciągnęła Dorothy drżącym z przejęcia głosem.

Amanda widziała, że jej podopieczna jest już zmęczona i podniosła się z miejsca, by przerwać nagranie, lecz starsza pani najwyraźniej chciała coś jeszcze powiedzieć.

- Ale najgorsze są puste miejsca, stracone okazje i nie zakończone sprawy. Czasem mamy szczęście i udaje nam się do nich wrócić, dodać trochę koloru bądź sprawić, że puste miejsce mniej rzuca się w oczy. Po to właśnie przyjechałam do Ashburton, tylko nie wiem, czy nie jest już za późno.

Łza spłynęła po twarzy staruszki.

- Na dzisiaj koniec - przerwała Amanda głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Panna McFadden jest już zmęczona.

Dorothy nie zwracała uwagi na kręcących się wokół ludzi i Amanda postanowiła poczekać, aż pozbierają swoje rzeczy. Chciała sama porozmawiać z Dorothy i sprawdzić, czy przypadkiem nie powinna odwołać jutrzejszego nagrania. Producentka, która jako ostatnia zbierała się do wyjścia, chciała jeszcze raz przyjrzeć się robótce.

- Podoba mi się pani filozofia - zagadnęła. - Mam nadzieję, że następnym razem powie nam pani jeszcze więcej. O własnych kolorach i własnych pustych miejscach. Może chodzi pani o to, że pozostała pani bezdziejna?

Dorothy pokręciła głową.

- Te puste miejsca są moją prywatną sprawą i tylko ja wiem, czy one istnieją. Kiedy się takie miejsca wystawi na pokaz, bywa, że ludzie przestają zauważać resztę obrazu.

Producentka chciała zadać kolejne pytanie, ale na tarasie właśnie jak spod ziemi wyrosła postać Jima.

- Dlaczego te cholerne worki z wełną nie są jeszcze w stodole! - awanturował się. - Przecież zaraz będzie padać.

Amanda z trudem powstrzymała wybuch śmiechu

- Ktoś je zaraz odniesie, panie Cooper. Proszę się nie obawiać. - Chwyciła niesfornego pacjenta za ramię i pociągnęła za sobą do sali. Widząc kompletnie ogłupiały wzrok pracownicy telewizji, wyjaśniła: - Chodzi o te torby z bielizną do prania. Przypominają mi worki na wełnę. W zeszłym tygodniu zniszczył elektryczną maszynkę do golenia, bo myślał, że to golarka do owiec.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sytuacja była krępująca dla wszystkich.

W przyszpitalnej przychodni Brenda Worbeton zajęła miejsce przy biurku naprzeciwko Jacka. Chloe usiadła obok. Niemowlę spało smacznie w samochodowym foteliku, ustawionym przy jej krześle. Obie patrzyły na lekarza z podejrzliwością, którą musiał uznać za usprawiedliwioną. W czasie pierwszego spotkania wykazał praktycznie zero zrozumienia dla ich trudnej sytuacji. Był zdecydowanie nieprzyjemny dla Brendy, którą oczywiście świetnie pamiętał ze szkoły, tylko próbował wyrzucić ten okres z pamięci. Ani razu nie zajrzał do Chloe po porodzie i nie zainteresował się przyszłością jej dziecka. Najwyraźniej obie kobiety zmieniły zdanie co do oddania małej do adopcji.

Teraz Chloe pojawiła się w przychodni na badanie kontrolne. Od porodu minęło już sześć tygodni i po dokładnym sprawdzeniu Jack mógł zapewnić dziewczynę, że wszystko jest w porządku. Próbował namówić ją do stosowania środków antykoncepcyjnych, ale spojrzała na niego w sposób, który kazał mu natychmiast zmienić temat. Pomyślał, że wyśle list do jej rejonowej lekarki z prośbą o przedstawienie dziewczynie sposobów uniknięcia ciąży.

Kiedy Chloe ubierała się po badaniu, Jack został na chwilę sam na sam z jej matką.

- Pamiętam tę mysz, Brendo - odezwał się, przerywając trudną do zniesienia ciszę. - To ty na mnie wtedy doniosłaś. Przez ciebie dostałem krechę z zachowania.

- Ja? Nigdy w życiu!

- Ale tylko ty widziałas, jak wsadzałem tę mysz. I mówiłaś, że to świetny dowcip.

- Owszem. A potem widziałam, jak pani Allen otwiera wszystkie kasetki, i tylko z twojej podejrzanie pachniało. Jak długo trzymałeś tę mysz?

Jack roześmiał się.

- Chyba ze trzy tygodnie. Rzeczywiście, to ten smród musiał mnie wydać. Pomyśleć, że przez tyle lat miałem do ciebie pretensje.

- Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak głośno krzyczał jak pani Allen, kiedy otworzyła pudełko. Nie zapomnę tego do końca życia.

- A wiesz, że ja zapomniałem. Dopiero ty przypomniałaś mi, jak to było.

- Chloe chodziła do tej samej szkoły. Dzięki temu wiele zdarzeń sobie przypomniałam. Na przykład pamiętam psa, który zawsze czekał na ciebie pod szkołą.

- Na imię miała Gypsy. - Jack uśmiechnął się z rozrzewnieniem. - Wierna przyjaciółka. Codziennie musiała biec spory kawał z domu do szkoły.

- Masz dzieci? - zapytała Brenda, kiedy Chloe wyszła zza parawanu, rozprostowując spódnicę na udach.

- Nie jestem żonaty.

- Dla mnie brak męża nie okazał się przeszkodą nie do pokonania. A teraz zostałam

babcią, a właściwie matką po raz drugi.

Jack uniósł brwi.

- Nie potrafiłyśmy oddać Lucy do adopcji, ale postanowiłam, że Chloe nie będzie musiała znosić tych wszystkich wyrzeczeń, przez które sama musiałam przechodzić, więc zdecydowałam się adoptować Lucy. Oficjalnie to ja będę jej matką, a Chloe wróci do szkoły. Może potem pójdzie na studia albo znajdzie jakąś dobrą pracę, a może zdecyduje, że chce sama dalej wychowywać córkę. Zaakceptuję każdy jej wybór. Życie lubi czasem zataczać koła. - Utkwiła w dawnym koledze zamyślane spojrzenie. - Nawet ty wróciłeś do Ashburton.

- Tylko na jakiś czas - wyjaśnił. - Ale muszę przyznać, że zaczyna mi się tutaj podobać.

Rzeczywiście, podobało mu się coraz bardziej, szczególnie od czasu, kiedy dwa tygodnie wcześniej uległ wreszcie pokusie i zaprosił Amandę na kolację. Tak jak przypuszczał, początkowo spotkał się z odmową, a kiedy po kilku dniach ponawiania propozycji wreszcie zgodziła się z nim spotkać, smak zwycięstwa okazał się jeszcze słodszy.

Ku zaskoczeniu Jacka jedzenie i wino w miejscowej restauracji w niczym nie ustępowało daniom podawanym w dobrych europejskich lokalach. Towarzystwo Amandy okazało się nader inspirujące, choć zdawał sobie sprawę, że znajomość ta nie może przybrać bardziej zobowiązującej formy. Mimo to cieszył się, że Amanda w pewnym stopniu odwzajemnia uczucia, jakimi ją darzył.

Ostatniej niedzieli udali się na wspólny spacer. Tym razem to ona zaproponowała spotkanie. Jack miał okazję poznać Ralpha. Łagodny, pełen godności pies szedł bez smyczy u nogi swej pani, przywodząc mu na myśl wspomnienia dawnych wiosennych wypadów w towarzystwie czworonogiej przyjaciółki. Kiedy przemierzali miasto wzdłuż i wszerz, pamięć dziecięcych lat uderzyła go z niespodziewaną mocą.

- Na tym boisku grałem w rugby w każdą sobotę przed południem - opowiadał Amandzie z przejęciem. - Po pierwszych przymrozkach ziemia stawała się twarda jak stal. Piłka odbijała się wtedy świetnie, ale kolana mieliśmy wszyscy w opłakanym stanie. O, a na tamtym polu zawsze rozkładał się cyrk, ilekroć przyjeżdżał do miasteczka. Urywaliśmy się wtedy ze szkoły, żeby popatrzeć na zwierzęta.

Zatrzymali się na malowniczym mostku i obserwowali parę srok podskakujących na kamiennej barierze.

- Wiesz, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo brakowało mi srok, dopóki dziś rano nie usłyszałem ich wrzasków. - Wzrok Jacka powędrował za ptakami, które właśnie zniknęły w głębi różanego ogrodu.

- A kto jest pochowany pod tamtym nagrobkiem? - zapytał.

- To nie nagrobek, tylko pomnik ku czci Florence Nightingale. Miejscowa pani burmistrz kazała go wznieść we wrześniu 1910 roku, mniej więcej miesiąc po śmierci tej

słynnej pielęgniarki.

- Masz doskonały wzrok.

- Nie musiałam czytać napisu, znam go na pamięć. To właściwie to miejsce sprawiło, że podjęłam pracę w szpitalu. Przychodziłam tu często, kiedy Ralph był jeszcze szczeniakiem i zastanawiałam się, co zrobić z resztą życia.

Jack zbliżył się do pomnika.

- Ciekawe, że w 1910 roku miastem kierowała kobieta. To chyba precedens jak na owe czasy?

- Może zawsze byliśmy o jeden krok do przodu.

Roześmiał się z powątpiewaniem.

- Nie rozglądasz się wcale wokół siebie?

- O co ci chodzi?

- Ashburton to typowe nowozelandzkie miasteczko. Jedna główna ulica z mieszaniną wszelkich możliwych stylów na odrapanych fasadach. Wyblakłe szyldy herbaciarni i tanich barów, parę pubów i oczywiście jeden pomnik ku czci ofiar wojny. No i jedno skrzyżowanie ze światłami.

- Nieprawda - zaprotestowała z uśmiechem. - Mamy światła na czterech skrzyżowaniach, dwa na East Street i kolejne dwa na West Street. A w ogóle to nie wygląd miasta decyduje o tym, czym jest w rzeczywistości, tylko ludzie, którzy tu mieszkają.

- Zgoda. I można ich właściwie policzyć na palcach.

- Mamy około piętnastu tysięcy mieszkańców - wyjaśniła z lekką irytacją. - A nasz rejon szpitalny obejmuje dwadzieścia pięć tysięcy osób.

- Przecież stąd nawet morza nie widać. Szaro, płasko i nudno. Podejrzewam, że od 1972 roku nawet cyrk już tu nie zagląda.

- Jest mnóstwo innych atrakcji. Można odbyć safari balonem, popływać na tratwie, wybrać pieszą wycieczkę...

- Dziękuję, ale to nie dla mnie. Nie jestem turystą.

- Ale mówisz, jakbyś nim był, jakbyś poruszał się jedynie po powierzchni zjawisk i obchodziły cię same korzyści.

- A jakież to korzyści można czerpać z tego miejsca? Może, gdyby ojciec nie pozbył się Ashcroft, miałbym tu jeszcze po co wracać, ale tak? - rzekł z goryczą.

Amanda domyślała się, że jego stosunki z ojcem nie układają się najlepiej.

- Mam nadzieję, że się mylisz - powiedziała z przekonaniem.

Poruszony żarliwością jej głosu, Jack poczuł nagły przyptyk wzruszenia i pogładził ją po policzku.

- Być może. - Uśmiechnął się. - Obiecuję, że się jeszcze nad tym zastanowię.

Dobrze wiedział, jak bardzo się myli. Już wiele dni temu uświadomił sobie, że

Ashburton pociąga go coraz bardziej, i to tylko i wyłącznie z powodu pewnej kobiety. Z dnia na dzień odczucie to stawało się coraz silniejsze, mimo że starał się mu oprzeć. Przecież niedługo stąd wyjedzie. Czy ma prawo wtargnąć w jej życie, skoro Amanda na pewno nie zechce mu towarzyszyć?

Gdyby miała ochotę na krótki romans, nie wahałby się ani chwili, lecz nie uczyniła żadnego gestu, który by na to wskazywał. Nie miał wątpliwości, że dobrze się czuje w jego towarzystwie, często śmiali się teraz na wspomnienie pierwszego wrażenia, jakie wzajemnie na sobie wywarli, lecz mimo ewidentnych oznak przyjaźni Jack wiedział, że nie nabrała jeszcze do niego pełnego zaufania. Co więcej, sam też nie do końca jej ufał.

Do tej pory ani razu jeszcze nie zaufał kobiecie, co wcale nie przeszkadzało mu w utrzymywaniu wspaniałych, intymnych znajomości. Dlaczego w tym przypadku miałyby być inaczej? Gdy skończy dyżur, postara się znaleźć Amandę i spróbuje wy badać jej reakcję.

Ethel Golder nie pojawiła się w przychodni, mimo że wysłał jej kartkę przypominającą o dacie wizyty. Trudno, będzie musiał napisać do niej ponownie. Dokładał wszelkich starań, by przezwyciężyć jej lęk przed zabiegiem, lecz kucharka okazała się wyjątkowo odporna na perswazje. Tym razem osobiście zanieś jej kartkę. Może zdoła w końcu przekonać tę upartą kobietę, że niewielka korekta stóp może całkiem odmienić jej życie.

Donald Fisher był ostatni na liście pacjentów. Młody farmer czuł się zażenowany z powodu schorzenia, które zmusiło go do szukania porady u chirurga. Jack z uwagą przestudiował skierowanie wystawione sporo wcześniej przez lekarza z rejonu.

- Dlaczego zgłasza się pan dopiero teraz?

- No wie pan, jak to jest...

- I co? Coraz większe problemy z rozmiarem?

- Właśnie. A ja gram w rugby, w lokalnej pierwszej lidze.

- Moje gratulacje.

- Któryś z zawodników kopnął mnie kilka tygodni temu. Bolało jak diabli.

- Nic dziwnego.

- A w dodatku kolega w przebieralni śmieje się ze mnie, że wyglądam jak Jefferson.

- Jefferson? Nie rozumiem.

- Mój najlepszy byk. - Twarz pacjenta poczerwieniała ze wstydu, lecz w końcu odważył się spojrzeć Jackowi w oczy. Nagle obaj wybuchnęli śmiechem i lody zostały przełamane.

- Proszę się rozebrać. Ten rodzaj przepukliny naprawdę łatwo jest wyleczyć. Będzie pan musiał spędzić dzień w szpitalu, ale zapewniam, że po zabiegu wszystko szybko wróci do normy.

Po wyjściu pacjenta Jack szybko zebrał swoje rzeczy i wrócił na oddział. Amandę zastał przy biurku w dyżurce.

- Wszyscy chcą mieć wolne w sylwestra. Zdaje się, że tylko my dwoje zostaniemy w szpitalu.

- Jeśli o mnie chodzi, nie zgłaszam sprzeciwu. Nie ma takiej rzeczy, której nie dalibyśmy razem rady. A może - zniżył głos - urządzimy sobie własne przyjętko?

Ciemne oczy Amandy zabłyśły, koniuszkiem języka oblizała wargi. Jack nie był pewien, czy to zwykły zbieg okoliczności, czy też reakcja na zainteresowanie z jego strony. Poczuł gwałtowny przypływ pożądania, lecz jeszcze zdołał się opanować.

- Jesteś pewien, że chcesz pracować w pierwszy dzień świąt? - zapytała, z trudem łapiąc oddech. - Nie wolałbyś zostać z ojcem?

Jack odgarnął włosy z czoła. Poczuł żal, że Amanda tak szybko zmieniła temat.

- Mówiłem ci już, że moja obecność wcale go nie cieszy. Powoli się do niej przyzwyczajają, ale nie sądzę, żeby miał chęć na wspólne uroczystości. Jest przekonany, że przyjechałem do Ashburton jedynie po spadek i wcale nie spieszy się z jego przekazaniem. Że nie wspomnę już o tym, jak niewiele zostało do odziedziczenia. Prawdę mówiąc, rzeczywiście przyjechałem tu głównie po to, żeby przejąć dom, lecz gdyby był to jedyny powód, już dawno bym wyjechał. Ledwie się pojawiłem, nie omieszkał mnie poinformować, że Ashcroft nie należy już do rodziny.

Amanda spuściła oczy. Naprawdę nie chciała przypominać Jackowi o utracie rodowej rezydencji.

- Zostało ci jeszcze trochę czasu.

- Owszem. Dokładnie czterdzieści jeden dni. I odnoszę wrażenie, że ta tablica na dole staje się z dnia na dzień większa.

- Niedługo zaczną wywieszać transparenty. Karen i Marcia nie mogą się wręcz doczekać. Wszyscy zachowują się tak, jakby początek nowego tysiąclecia stanowił cel ich życia.

- A propos... - Jack zawiesił głos. - Może wybralibyśmy się gdzieś na kolację w piątek wieczorem? Przynajmniej i ja miałbym jakiś cel w życiu.

- W piątek niestety nie mogę - odmówiła z żalem. - To dzień corocznej zabawy organizowanej przez Stowarzyszenie Młodych Farmerów. Ale - jej twarz nagle się rozjaśniła - dlaczego nie miałbyś na nią przyjść? Wszyscy się wybierają. Obiecuję, że będziesz się dobrze bawił.

- Obawiam się, że to nie dla mnie. Umówmy się na sobotę, bo chyba odpuszczę sobie tę uroczystość. Przecież jestem z zewnątrz.

W spojrzeniu Amandy było coś niepokojącego.

- Może rzeczywiście tak ci się wydaje albo przynajmniej chciałbyś, żeby tak było. Ale sądzę, że możesz się mylić.

Mylić się co do czego? Że jest tu obcy? Że chciałby zachować status nieznajomego?

Uwaga Amandy nie dawała mu spokoju przez całe popołudnie. Cały czas, mimo nawału pracy, kilkakrotnie wracał do niej myślami. Nie, z pewnością się nie myli. Jest i pozostanie outsiderem.

Pierwszym pacjentem, którego przyszło mu w piątek operować, był Donald Fisher. Zabieg był prosty i przebiegł bez komplikacji. Jack dodatkowo zabezpieczył wewnętrzne powłoki brzuszne przed pęknięciem, mimo to uznał, że nieszczęsny rugbysta właściwie powinien zrezygnować z uprawiania ulubionego sportu. No i raczej nie wybierze się na piątkową zabawę...

Sam jednak zmienił zdanie, ponieważ chciał pokazać Amandzie, jak bardzo się myliła. Poza tym chciał ją zobaczyć, i postanowił nie czekać z tym do soboty. Dni pozostałe do końca roku mijały szybko i zaczynał się obawiać, że zanim sprawdzi, jak jego marzenia mają się do rzeczywistości, będzie już siedział na pokładzie samolotu do Londynu.

Sala była po brzegi wypełniona ludźmi. Pod ścianami poukładano chyba setki bel siana, które służyły za krzesła. Z beczek lało się piwo, a kielbaski smażące się na ogromnym grillu ustawionym w rogu sali przesyciły powietrze rozkosznym aromatem. A muzycy! Jack nie wierzył własnym oczom. Wszyscy członkowie zespołu byli w wieku, by tak rzec, geriatrycznym. Skrzypek musiał mieć z dziewięćdziesiąt lat, mężczyzna pełniący rolę wodzireja wyglądał jak jego bliźniaczy brat. Pozostali muzycy wcale nie sprawiali wrażenia młodszych, a mimo to grali z taką werwą, że nogi same rwały się do tańca.

- Jack! - usłyszał głos z tłumu.

Tańczący właśnie utworzyli dwa rzędy i kolejne pary przewijały się z wdziękiem pod łukiem utworzonym z rąk uczestników zabawy, wśród których nareszcie dostrzegł Amandę. Czarne loki miała dziś związane w dwa kucyki, piegi po obu stronach nosa specjalnie podkreśliła ciemną kredką, a nogawki wytartych, dzinsowych spodni na szelkach podwinęła prawie do kolan. Była boso, a paznokcie jej stóp epatowały purpurą. Wyglądała jak mała rozbawiona dziewczynka.

- Chodź! - Pociągnęła go mocno za rękę. Tańczący właśnie utworzyli kwadrat. Jack kątem oka zauważył Grahama, który, ocierając spocone czoło, przeciskał się w kierunku beczek z piwem. Domyślił się, że właśnie odbił weterynarzowi partnerkę.

Amanda tryskała energią. Próbując przekrzyczeć dźwięki muzyki, dawała mu instrukcje co do kolejnych kroków, jednak jej głos i tak ginął w ogólnej wrzawie.

- Na pewno nie macie takich zabaw w Londynie! - zawołała, gdy kręcili się w kółko, trzymając się pod ramię. - Nie, nie idź teraz za mną. Masz skrócić w drugą stronę.

Jack jednak się pogubił i ruszył pod prąd, wywołując wielkie zamieszanie. Tancerze jeden po drugim zaczęli na siebie wpadać, pokładając się przy tym ze śmiechu, aż w końcu wszyscy stanęli w miejscu i tylko klaskali głośno w rytm muzyki. Wreszcie muzycy zakończyli kolejną melodię i ogłosili krótką przerwę.

- Późno się pojawiłeś. Już prawie czas na kielbaski.

- Zapomniałaś, że miałem w ogóle nie przyjść?

- Nie, nie zapomniałam. - Amanda wdrapała się na belę siana i rozsiadła wygodnie. - Chodź! - zawołała do Jacka, który zdawał się zastanawiać, czy siedzisko jest na tyle stabilne, by utrzymać ich oboje. - Cieszę się.

- Z czego?

- Z tego, że przyszedłeś - odparła uśmiechnięta.

- Ja też. - Jack nie zamierzał dłużej czekać. Wskoczył na siano, pochwycił Amandę w ramiona i pocałował prosto w usta. A to, co w tym momencie poczuł, przeszło jego najśmielsze oczekiwania.

Amanda zaś zaczęła się zastanawiać, kiedy to ostatnio ktoś ją tak pocałował. Nie mogła sobie przypomnieć. Chyba nigdy. Zrzuciła Jackowi ręce na szyję i poczuła gorący przypływ uczucia, które już od kilku tygodni dawało jej znać o swoim istnieniu. Dochodzące z sali głośne okrzyki aprobaty przywołały ich do porządku.

- Brawo, doktorze! - Donald Fisher przyglądał się im z rozbawieniem, odsłaniając w uśmiechu rząd białych zębów.

Zaraz potem wszyscy zaczęli bić im brawo i prosić o bis. Amanda najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię. Jednak w zachowaniu skandujących na ich cześć uczestników zabawy nie było nawet śladu złośliwości. Wszyscy najzwyczajniej cieszyli się, widząc ich szczęście. Kiedy ta prosta prawda wreszcie dotarła do świadomości Jacka, sam też roześmiał się wesoło.

- Zaczynam się tu czuć jak w domu - oznajmił głośno - więc gdyby ktoś zasłabł, niech zaaplikuje sobie aspirynę i nie próbuje mi rano przeszkadzać.

Owację, z jaką przyjęto wystąpienie lekarza, przerwał głośny łoskot. To kucharz walił chochlą o ścianę kotła wypełnionego tłuczonymi ziemniakami.

- Zapraszam na ucztę. Musicie się wzmocnić, bo tańce będą trwać do białego rana.

Jack z pełnym zrozumienia uśmiechem przyglądał się, jak jego niedawny pacjent ostrożnie stawia kroki. Potem odwrócił się do Amandy.

- Idziemy jeść? - zapytał. - Chyba że masz ochotę na coś całkiem innego.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Nie tutaj - szepnęła.

- No pewnie, że nie tutaj. - Zeskoczył na podłogę i pomógł jej zsunąć się na dół.

Sprawdził, czy nikt ich nie obserwuje, i pociągnął Amandę w kierunku awaryjnego wyjścia. Nagle jak spod ziemi wyrosła przed nimi korpulentna postać.

- Jack! Zaczekaj!

Pani Golder, ubrana w obcisłe dzinsy, przedstawiała doprawdy niezwykły widok. Kuśtykała ku nim z trudem, mimo że na nogach miała luźne kalosze.

- Jack, mój miły! - Kobieta z ulgą przysiadła na najbliższej stercie siana i zaczęła ściągać gumowce. - Proszę, możesz teraz sobie obejrzeć moje halluksy. Zdecydowałam się. Jak długo człowiek może wytrzymać bez tańca?!

Dorothy pierwsza zwróciła w poniedziałek uwagę na zmianę w zachowaniu Amandy. Tego dnia staruszka była bardziej rozmowna niż zwykle i ze szczegółami opowiadała ulubionej pielęgniarce o wywiadzie, którego rano udzieliła dziennikarce z pewnego pisma dla kobiet.

- Pytała, jakich zmian byłam świadkiem w czasie tego stulecia. I co myślę na ich temat. Amanda pochyliła się właśnie nad wózkiem z materiałami opatrunkowymi.

- I co jej powiedziałaś?

- Że wszelkie zmiany mają swoje dobre i złe strony. Dla mnie, na przykład, życie biegnie teraz zbyt szybko. Ludzie chcą mieć wszystko natychmiast i zapominają, że to, co naprawdę dobre, zawsze będzie zajmować tyle samo czasu.

- Na przykład? - Amanda znalazła odpowiedni opatrunek i naciągnęła na dłoń rękawiczki.

- Przyjaźń, miłość, wychowanie dzieci czy zakładanie ogrodu. Zawsze pozostaną niezmiennie.

- Miejmy nadzieję, że tutaj przynajmniej zaszła zmiana na lepsze. - Amanda odwijała bandaż z lewej stopy pacjentki.

Wrzód już dawno powinien zacząć się goić, tymczasem, mimo iż udało się zwalczyć infekcję, rana pozostała otwarta.

- Poproszę jutro chirurga, żeby to obejrzał. Może trzeba się będzie zdecydować na przeszczep skóry, żebyś mogła wreszcie zacząć chodzić...

- Jaki jest ten nowy lekarz? Amanda poczuła, że się czerwieni.

- No cóż, jest całkiem miły. - Odwróciła głowę w obawie, że może ją zdradzić wyraz oczu, i sięgnęła po nowy opatrunek.

Miły - to zdecydowanie za mało powiedziane. Piątkowa zabawa przeciągnęła się do czwartej rano. Halluksy pani Golder nagle znalazły się w centrum zainteresowania, a Jack jako jej przyszły wybawiciel stał się bohaterem wieczoru. W tej sytuacji wszelka próba dyskretnego opuszczenia towarzystwa skazana była na niepowodzenie. Nie pozostało im nic innego, jak tylko świetnie się bawić do białego rana. W końcu Amanda była już tak wyczerpana, że Jack postanowił pozwolić jej się dobrze wyspać.

- Jesteś za bardzo zmęczona, żeby teraz w pełni docenić moje zalety. - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Poza tym wyobraź sobie, jak strasznie ucierpiałoby moje ego, gdybyś zasnęła w połowie miłosnego aktu.

Na szczęście mieli przed sobą jeszcze cały weekend.

Wiedziała, że do końca życia nie zapomni napięcia, jakie nie opuściło jej nawet na

chwilę podczas sobotniej kolacji. Nie pamiętała, co jedli. Oboje wiedzieli, co jeszcze czeka ich tej nocy, i z trudem dotrwali do końca posiłku. A kiedy w końcu zostali sami w zaciszu sypialni, czas jakby zatrzymał się w miejscu i nagle okazało się, że jest już poniedziałek rano. Amanda skupiła całą uwagę na zakładaniu opatrunku, starając się nie sprawić pacjentce bólu. Kiedy wreszcie, zadowolona z osiągniętego efektu, podniosła wzrok, zauważyła, że Dorothy bacznie się jej przygląda.

- To dobrze, że jest miły. Najwyższy czas.

- Na co?

- Żebyś w końcu nadała życiu koloryt.

- Jak wyszywance, tak? - zapytała Amanda, owijając stopę pacjentki bandażem. -

Rzeczywiście, jestem bardzo szczęśliwa. Ale przedtem też nie miałam powodu do narzekań.

- Poświęciłaś dużo czasu wyszywankom obcych ludzi. Czas, żebyś zajęła się własną.

- Może masz rację. - Na policzkach Amandy pojawiły się dołeczki. - Może czekałam na kogoś, kto nie będzie mi się kojarzył z przeszłością?

- Nigdy nie uda ci się uciec przed przeszłością, moja droga. Ściegi na hafcie nie dadzą się wyprać. Ale możesz spróbować zrobić z nich użytek. Wkomponować je w całość obrazu.

- Czy to właśnie starasz się zrobić, Dorothy? - Chętnie dowiedziałyby się, o jakich to pustych miejscach wspomniała staruszka w rozmowie z dziennikarką z telewizji, ale nie chciała zbyt obcesowo wkraczać w jej życie. - Dlatego wróciłaś do Ashburton?

- Taki miałam zamiar, ale chyba zbyt późno podjęłam decyzję. Nie zdążę już wypełnić tych miejsc. Obawiam się, że moja wyszywanka została zakończona.

- Niezupełnie. - Amanda pozbierała zużyta gaza. - Wyleczymy ci nogę i będziesz mogła wyjść ze szpitala. Jeszcze dzisiaj porozmawiam z doktorem Armstrongiem.

- Z kim? - spytała staruszka zduszonym szeptem.

- Z naszym nowym chirurgiem.

- Skąd pochodzi ten człowiek? Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej, jak się nazywa?

- Nie denerwuj się, Dorothy. - Amanda była zaskoczona dziwnym zachowaniem podopiecznej. - Przepraszam, że zapomniałam ci powiedzieć. Przyjechał tu z Londynu, żeby odwiedzić ojca, który jest ciężko chory i może niedługo umrzeć.

- Umrzeć? - Twarz pacjentki nagle poszarzała. - John? John Arthur Armstrong? - zapytała drżącym głosem.

- Tak. - Amanda nie spuszczała z niej oczu. Ujęła nadgarstek Dorothy i sprawdziła puls. - Jego syn właściwie ma na imię tak samo jak ojciec i dziadek. Tylko podobno jego matka znieawidziła rodzinne tradycje i kazała zwracać się do niego imieniem Jack.

Amanda czuła, że serce staruszki wali jak oszalałe.

- Co jeszcze ci o sobie powiedział?

- Niewiele. Niezbyt chętnie rozmawia o ojcu, ale zdążyłam się zorientować, że to nieszczęśliwy człowiek. Wiele lat temu opuściła go żona i zabrała Jacka ze sobą do krewnych do Anglii. Dobrze się czujesz, Dorothy? Czy zmiana opatrunku była dziś tak bolesna? Może zawołam doktora Garretta?

- Nie, nic mi nie jest. Zostaw mnie samą.

- Dobrze, tylko ci zmierzę ciśnienie.

- Nie! - Dorothy zaprotestowała gwałtownie. - Jestem zmęczona i chcę odpocząć. Idź już.

Mocno zaniepokojona stanem podopiecznej, Amanda mimo wszystko wezwała lekarza. Jednak jeszcze przed jego przybyciem starsza pani odzyskała równowagę, a po wizycie przeprosiła Amandę za zbyt ostry ton.

- Sama nie wiem, co mnie tak zdenerwowało. Może to perspektywa operacji?

- Doktor Garrett uważa, że powinniśmy spróbować jeszcze innych sposobów, zanim podejmiemy decyzję o zabiegu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dzwonek telefonu zdawał się dobiegać gdzieś z daleka. Na wpół rozbudzona Amanda stwierdziła, że to nie senne marzenie, tylko rzeczywiście leży w łóżku, wtulona w ramię Jacka. Już miała ponownie zapaść w sen, gdy znowu usłyszała natrętny sygnał. Tylko dlaczego ten dźwięk jest taki stłumiony? Nagle zrozumiała.

- Obudź się, Jack. To twoja komórka! Jack poderwał się jak oparzony.

- Co? Niczego nie słyszałem.

- Bo dzwoni bardzo cicho. Sama myślałam, że coś mi się śni. Gdzie położyłeś telefon?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Próbował zlokalizować aparat po omacku.

Amanda zapaliła lampkę przy łóżku.

- Przypomnij sobie, gdzie go ostatnio trzymałeś.

- W kieszeni marynarki. Dobry Boże, cały pokój zarzuciliśmy ubraniami. - Ujął między dwa palce koronkowe majteczki, które jakimś cudem znalazły się na kłamce.

- Dobrze wiesz, że to nie ja je tam powiesiłam.

- Cholera - mruknął pod nosem. - Na pewno dzwonili ze szpitala.

Patrzyła na niego z przyjemnością.

- Już nie dzwoni. Wracaj do łóżka.

Spojrzał na Amandę z udawanym niedowierzaniem.

- Czy ktoś już ci mówił, że jesteś nienasycona?

- Nie - odrzekła ucziwie. - A jestem? Naprawdę?

- Owszem. - Roześmiał się. - Ale nie narzekam. Przynajmniej na razie.

- Jeszcze tego by brakowało. Nie zauważyłam, żebyś się do czegośkolwiek zmuszał.

Poza tym gdybyś nie pocałował mnie wtedy na zabawie, zapewne wciąż pozostałabym grzeczną dziewczynką.

- A mnie się wydawało, że inicjatywa wyszła od ciebie. A poza tym minęły już dwa tygodnie, więc powinienem zdążyć ci spowszednieć. Tymczasem twój apetyt rośnie w miarę jedzenia.

- Właśnie. - Otoczyła kolana ramionami. - Więc tak jak powiedziałam, wracaj do łóżka.

Jack uczynił krok w jej kierunku, lecz gdy zadzwonił telefon stacjonarny, wybiegł z sypialni.

- Wypadek samochodowy - poinformował, gdy po chwili wrócił. - Nie wiesz, gdzie położyłem dzinsy?

- Sprawdź w kuchni. - Amanda zerknęła na zegarek. Dochodziła druga w nocy. - Będę ci potrzebna?

- Jeszcze się pytasz?

- Miałam na myśli szpital.

- Ja też!

Zebrała z podłogi ubranie. Koszulkę odnalazła na grzbiecie Ralpa, który, wyraźnie oburzony tym nocnym zamieszaniem, nie raczył się nawet podnieść.

Gdy Jack wyszedł z łazienki gotowy do wyjścia, Amanda pogładziła psa po pysku.

- Śpij smacznie, staruszk - powiedziała. - Tylko gdzie, do diabła, podziałam buty?

Po kilku minutach biegu przez szpitalny ogród znaleźli się w izbie przyjęć.

- Mamy troje poszkodowanych. Obawiałam się o stan kierowcy, ale teraz ten drugi też zaczął nam odchodzić. Był przytomny, kiedy go przywieźli, ale nie mogłam zrozumieć, co mówi, bo jest kompletnie pijany. Zresztą, kierowca też. Ciśnienie spada, więc chyba silnie krwawi - wyjaśniła dyżurna pielęgniarka. - Zdążyłam tylko podłączyć kroplówkę, bo obok mamy mężczyznę z ciężkim urazem głowy.

Jack wziął stetoskop i uważnie osłuchiwał rannego. W tym czasie Amanda odcinała resztki podartej koszuli.

- Brak szmeru oddechowego w prawym płucu. - Zbadał palcami klatkę piersiową pacjenta. - Żebra chyba są całe.

- Popatrz, pod pachą utworzył się krwiak. - Amanda uniosła rękę rannego.

- Zaczyna sinieć - ostrzegła siostra dyżurna.

- Bo się dusi. - Jack włożył rękawiczki. - Pęknięte żebro musiało uszkodzić płuco, a następnie uwięzło pod pachą. Podaj mi skalpel, Mandy.

Wykonał nacięcie i wsunął palec do środka. Po chwili sięgnął po rurkę i ostrożnie umieścił ją w ranie, przyglądając się z napięciem Amandzie, która przez cały czas kontrolowała oddech pacjenta przez słuchawkę.

Wreszcie skinęła głową. Szmer w prawym płucu wrócił do normy i Jack umocował rurkę przylepcem. Sinica ustąpiła błyskawicznie, ciśnienie wróciło do normy.

- Załóż mu opatrunek, a ja zobaczę, co dzieje się obok. Aha, i sprawdź na radiologii, czy mogą od razu zrobić mu prześwietlenie.

Stan drugiego pacjenta przedstawiał się teraz znacznie poważniej. Poza urazem głowy chłopak miał pęknięte żebra i złamane kości prawej ręki i podudzia.

- Na początku był bardzo pobudzony, ale teraz się uspokoił. Udało mi się nawet założyć kilka opatrunków, żeby powstrzymać krwawienie - wyjaśniła pielęgniarka.

Jack spojrział na monitory. Ciśnienie osiemdziesiąt pięć na czterdzieści pięć. Saturacja osiemdziesiąt pięć procent.

- Podłączcie mu jeszcze jedną kroplówkę - polecił. - Jak ma na imię?

- Richard.

Przyłożył chłopakowi dłoń do policzka.

- Richard - powiedział głośno. - Czy mnie słyszysz? Możesz unieść powieki?

Chłopak zareagował, co pozwoliło Jackowi błyskawicznie sprawdzić reakcję źrenic na światło.

- Wiesz, gdzie się znajdujesz?

Tym razem odpowiedział mu jęk i kilka niezrozumiałych dźwięków.

- Jeszcze raz unieś powieki, Richard. - Jack położył obie dłonie na brzuchu pacjenta. - Daj mi znać, czy tu boli.

Chłopak jęknął.

- Trzeba mu jak najszybciej zrobić tomografię mózgu. Amanda wsunęła głowę przez zasłonę w drzwiach.

- Mam zadzwonić po Roberta Baylissa, żeby go przewiózł do Christchurch?

- Owszem. Jest na tyle stabilny, że jak tylko zabezpieczymy drogi oddechowe, będzie gotowy do podróży.

Pierwsze nieśmiałe świergotania ptaków zapowiedziały nadejście dnia. Chłodne powietrze stanowiło miłą odmianę po zaduchu panującym w izbie przyjęć. Amanda i Jack szli wolno w kierunku jej domu.

- W Londynie powietrze jest całkiem inne - zauważył Jack. - A gwiazdy wcale nie mrugają.

Amanda zagryzła wargi.

- Będzie ci ich brakować. Przynajmniej na początku. Zatrzymał się w pół kroku.

- Nie tyle gwiazd, co ciebie.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Tym razem jednak pocałunek nie stanowił wstępu do kolejnego wybuchu namiętności. Jack cofnął się, nie spuszczać wzroku z Amandy. Nigdy dotąd nie widziała, by tak na nią patrzył. W jego ciemnych oczach malowała się

powaga.

- Kocham cię, Amando. I chcę, żebyś wiedziała, że mówię to pierwszy raz w życiu.

- Jack! - Poczła przyspieszone bicie serca. Zanim dotarło do niej znaczenie jego wyznania, zdążyła pomyśleć, że musiał mieć bardzo smutne życie, skoro przez trzydzieści sześć lat nie kochał nikogo aż tak bardzo, by mu o tym powiedzieć. Potem podniosła dłoń i pogładziła go po twarzy.

- Ja też cię kocham.

- Czy możesz mi zaufać na tyle, żeby to wszystko zostawić i zacząć od nowa? -

Zacisnął palce na jej ramionach. - Czy zostaniesz moją żoną?

Amanda zawahała się.

Rozpocząć życie od nowa? Wreszcie pożegnać się z przeszłością i ruszyć przed siebie? Wbrew temu, co twierdziła Dorothy, chciała wyrzucić dawne doświadczenia z pamięci. A teraz ma szansę to uczynić, i to u boku mężczyzny, którego pokochała całym sercem. Jednak z drugiej strony, tak wiele musiałaby zostawić, utracić na zawsze! Jack wydawał się czytać w jej myślach.

- Nic mnie tu nie trzyma poza wspomnieniami, z którymi i tak nie potrafię się uporać. Muszę stąd uciekać, ale chcę, żebyś wyjechała ze mną. Wiem, że nie będzie ci łatwo, bo w przeciwieństwie do mnie, jesteś związana z tym miejscem.

Pochyliła głowę.

- Nie poznałeś mnie jeszcze do końca. A poza tym, Jack, mam zobowiązania. Na przykład Ralph...

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Może proszę cię o zbyt wiele? Może jest jeszcze za wcześnie? Ale chciałem, żebyś wiedziała, co czuję. - Pocałował ją z czułością. - W każdym razie, pomyśl o tym. Muszę teraz pojechać do domu, żeby się przebrać. Tylko nie zapomnij, że zaprosiłaś mnie dziś na kolację.

Pomyśl o tym! Dobrze sobie. Czy w ogóle będzie w stanie myśleć o czymkolwiek innym? Amanda wzięła prysznic i przebrała się w szpitalny strój. Ralph nie chciał ruszyć się z posłania, więc prawie siłą wypchnęła go do ogrodu.

- Nie lubisz nieprzespanych nocy, co? - Pogłaskała psa, zmieniła wodę w misce, do drugiej nasypała porcję świeżej karmy i poprawiła posłanie. - Przyniosę ci soczystą kość - obiecała.

Pies zamerdzał radośnie ogonem i Amanda spojrzała na niego ze wzruszeniem. Jak mogłaby go porzucić?

Czy darzy Jacka dostatecznym zaufaniem, by go poślubić? Przed laty Graham Baker poprosił ją o rękę i nie miała problemów z odpowiedzią. Mimo łączącej ich przyjaźni wiedziała, że nie ufa mu na tyle głęboko, by się z nim związać na resztę życia.

Raz już zaufała mężczyźnie. Poznała Seana na lekcji tańca, kiedy jeszcze mieszkała z

rodzicami w Dunedin. Gdy zaszła w ciążę, zapewniał, że jej nie opuści. Mieli wziąć ślub, wspólnie wychowywać dziecko i żyć razem długo i szczęśliwie. Aż nagle zniknął gdzieś bez śladu. Wyjechał z miasta, nie zostawiając adresu.

A czy własny ojciec nie zawiódł jej zaufania? Z jakim trudem przyszło się jej pozbierać, kiedy na wieść o tym, że spodziewa się dziecka, kazał jej wyprowadzić się z domu. W czasie kilku strasznych tygodni, jakie spędzili pod wspólnym dachem, zanim przeniosła się do babci, ani razu się do niej nie odezwał.

A kiedy nadszedł czas rozwiązania, od razu zorientowała się, że coś nie jest w porządku. Ciche, żalosne kwilenie nowo narodzonego dziecka rozdzierało jej serce. Tak bardzo pragnęła je pocieszyć, chronić przed złem tego świata. Zaufała lekarzowi, którego wezwano specjalnie do szpitala, by odebrał poród. A ten nawet nie spróbował...

Minęły całe lata, zanim na tyle odzyskała wiarę w ludzi, że zgodziła się na nowy związek. Graham Baker miał łagodne usposobienie, lecz mimo całej sympatii, jaką go darzyła, wiedziała, że nie potrafi dać mu szczęścia i poradziła, by poszukał innej kandydatki na żonę. Sama nawet nie chciała myśleć o małżeństwie z obawy przed kolejnym rozczarowaniem. Rozstali się w przyjaźni i Graham jeszcze długo żartował, że przegrał bój o jej serce w uczciwej walce z Ralphem. Poniekąd miał rację. Choć w głębi duszy wiedziała, że to smutne, ukochany pies był jedyną istotą na ziemi, którą darzyła bezgranicznym zaufaniem.

Dopiero teraz stanęła przed naprawdę trudnym wyborem. Była całkiem zadowolona ze spokojnych barw, jakimi dotąd wyszywała swe życie. Czy powinna dopuścić do tego, żeby pojawienie się Jacka zaburzyło sielski charakter wyszywania?

Z trudem zebrała myśli i udała się na obchód. Na szczęście życie w szpitalu płynęło spokojnie. Nawet chłopak z przebitym płucem odzyskał apetyt.

Pomyślała, że powinna odwiedzić Dorothy. Wciąż niepokoiła się, czy szum wokół urodzin stulatki nie zaszkodzi jej zdrowiu. Telewizja nadała już pierwszą część wywiadu i sprawa nabrała takiego rozgłosu, że media prześcigały się w zabiegach o spotkanie z czarującą staruszką.

Mimo nawału dodatkowej pracy, Kevin Farrow nie posiadał się z radości. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności Ashburton General znalazł się w centrum uwagi i jego dyrektor zamierzał w pełni wykorzystać tę szansę, by uchronić szpital przed zamknięciem. W miasteczku pojawiali się coraz to nowi goście, witani z zadowoleniem przez właścicieli miejscowych hoteli i restauracji. I choć Dorothy zatrzymała się w Ashburton przejazdem, mieszkańcy chętnie uznali ją za członka lokalnej społeczności i powszechnie akceptowany symbol zbliżającego się końca wieku.

Życiowa filozofia staruszki została potraktowana jako jeden z ważkich tematów obchodów milenijnych. Seria reportaży telewizyjnych poświęconych jej osobie, emitowana pod tytułem „Wyszywanie czasu”, zyskała wielką popularność. Ludzie ciekawi byli

kolejnych szczegółów jej życia. Do szpitala zaczęły napływać całe worki kartek i listów. Być może właśnie dlatego Dorothy od dłuższego już czasu nie zajmowała się robótką. Nalegała, by przynoszono jej całą korespondencję, i nożykiem z kości słoniowej z przejęciem rozcinała coraz to nowe koperty. Chwilami Amanda odnosiła wrażenie, że jej podopieczna czeka na wiadomość od jakiejś konkretnej osoby, która dotąd jeszcze do niej nie napisała.

Zdziwiła się, widząc, że mimo dość późnej już pory staruszka nadal leży w łóżku. Nawet się nie uczesała.

- To do ciebie całkiem niepodobne, Dorothy. Źle się czujesz?

- Nic mi nie jest. I przestań tak się o mnie troszczyć - odpowiedziała pacjentka zmienionym głosem.

Amanda przyjrzała się jej z uwagą. Dorothy miała dziś nienaturalnie zaróżowione policzki, a jej oczy lśniły dziwnym blaskiem.

- Jeśli nie masz siły na kolejny wywiad, mogę odwołać spotkanie.

- A kto ma dziś przyjść?

- Jakaś dziennikarka z lokalnej gazety. Chce wiedzieć, co działo się w Ashburton w czasie pierwszej wojny światowej.

- Dużo ludzi kupuje tę gazetę?

- Chyba tak, bo ma obszerny dział wiadomości sportowych.

- Więcej niż ogląda telewizję?

- Raczej nie. Tylko mieszkańcy Ashburton czytają naszą gazetę.

- Napiszą do mnie? - Dorothy sprawiała wrażenie bardziej pobudzonej niż zwykle i Amanda naprawdę zaczynała się niepokoić. - Pomóż mi wstać. Muszę się ubrać.

- Wywiad zaplanowany jest dopiero na popołudnie, więc możesz sobie jeszcze poleżeć.

- Nie. Muszę się zastanowić, a w łóżku nie potrafię zebrać myśli. Co mam im powiedzieć? Ile?

- Tyle ile chcesz. Przecież nie musisz mówić im wszystkiego.

- Muszę. Zostało tak mało czasu, a on się musi dowiedzieć. - Rozejrzała się niespokojnie. - Uważasz, że nie powinnam mu mówić?

Mimo że podeszły wiek usprawiedliwiał dziwne zachowanie Dorothy, Amanda postanowiła poprosić Colina Garretta, żeby dokładnie ją zbadał. Intuicja mówiła jej, że coś nie jest w porządku. Jednak kiedy po południu pojawiła się znowu na oddziale, by towarzyszyć pacjentce w czasie wywiadu, staruszka wyraźnie odzyskała już formę i całkiem składnie odpowiadała na zadawane pytania, wyjawiając fakty ze swego życiorysu, które wprawiły Amandę w osłupienie.

- To niesamowite! - zawołała. Jack odłożył korkociąg i spojrzał na nią z wyczekiwaniem. - Słyszałeś o Dorothy McFadden?

- Trudno było nie słyszeć. Podejrzewam, że niedługo wywiesicie na tablicy w

rejestracji jej zdjęcie z podpisem: Dorothy McFadden wita nowe milenium. Wiesz, że do końca roku zostały już tylko dwadzieścia trzy dni? - Położył korek na stole. - Wspominałaś kiedyś, że ma ranę na stopie. Chcesz, żebym rzucił na nią okiem?

- Nie. Na szczęście jest lepiej. Zastosowaliśmy dodatkową fizjoterapię i chyba udało nam się usprawnić krążenie. Dzięki temu wrzód w końcu zaczął się goić.

- A więc - roześmiał się - mam jeszcze tylko dokonać cudu usunięcia halluksów.

- Co tam pani Golder! Nie domyślasz się nawet, gdzie Dorothy pracowała, kiedy w 1917 roku przyjechała do Nowej Zelandii.

- W Ashburton.

- Tak, ale u kogo?

- A jakim cudem dostała się tu w środku wojny?

- Przypłynęła statkiem wysłanym po żołnierzy. Ale nie to jest takie ciekawe. Słuchaj, ona pracowała u was, w Ashcroft.

Jack podał Amandzie kieliszek wina.

- To znaczy, że służyła u mojego dziadka Johna Arthura drugiego. Był już po czterdziestce, więc go nie wzięli do wojska. Mój ojciec urodził się w roku 1919.

- Dorothy mówiła to samo. Wyjechała z Ashburton czwartego sierpnia, w dniu, w którym urodził się obecny właściciel Ashcroft. Kilka razy powtarzała tę datę.

- Starzy ludzie często lepiej pamiętają dawne czasy niż ostatnie wydarzenia.

- Z tego wynika, że twój ojciec nie jest taki młody.

- W sierpniu skończył osiemdziesiąt jeden lat. A ja mam trzydzieści sześć. To znaczy, że kiedy się urodziłem, miał czterdzieści pięć lat.

- Czy wszyscy mężczyźni w waszej rodzinie tak późno decydują się na dzieci?

- Udało mi się uniknąć pielęgnowania rodzinnych tradycji. Moja mama zerwała z nimi, kiedy tylko stąd uciekła. Teraz należą już do przeszłości, podobnie jak dom, który równie dobrze mógłby uchodzić za muzeum. Powinnaś wpaść kiedyś, zobaczyć te wszystkie pokryte kurzem meble.

- Bardzo chętnie - powiedziała całkiem szczerze.

- Naprawdę?

- Ten dom zawsze mnie fascynował - wyjaśniła. - Jest w nim coś tajemniczego. Kiedy dzisiaj słuchałam opowieści Dorothy, wyobrażałam sobie służbę uwijającą się po korytarzach przed corocznym balem wydawanym przez twoich przodków. A teraz dom wygląda tak, jakby zapadł w głęboki sen.

- To nie sen. Ashcroft nie żyje, a wszelkie próby reanimacji skazane są na porażkę. Możesz się sama przekonać. Chętnie cię oprowadzę.

- Świetnie. Twój ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Nie sądzę, żeby się zorientował. Lekarz zwiększył mu dawkę morfiny, więc prawie

cały czas śpi. Odpowiada ci najbliższa sobota?

Amanda odniosła wrażenie, że cofnęła się w czasie. Minęła bramę, długą aleją w szpalerze starodrzewu dotarła do okrągłego dziedzińca i zatrzymała się pod ciężkimi drzwiami. Właściwie zdziwiła się, że otworzył jej Jack, a nie lokaj w liberii.

- Witaj w Ashcroft - powitał ją uroczyście. Napięcie warg, które poczuła, kiedy ją pocałował, zdradzało, jak bardzo jest zdenerwowany. Zastanowiła się, czy nie popełniła błędu, nalegając na zaproszenie. Chyba że to ojciec tak wytrącił go z równowagi.

Nagle zadrżała.

- Tu nawet w środku lata jest okropnie zimno - oznajmił Jack, spostrzegając gęsią skórkę na ramionach Amandy. - Dlatego dom jest taki duży. Żeby mieszkańcy mogli się rozgrzać, biegając z pokoju do pokoju.

Dopiero teraz rozejrzała się po wnętrzu. Ściany ogromnego holu wyłożone zostały drewnem. Przepastne, skórzane kanapy tworzyły półokrąg przed ciężkim, żeliwnym kominem. Oczami wyobraźni Amanda zobaczyła płonący na nim ogień, rzucający ciepły blask na drewniane ściany i dywan o perskim wzorze. Teraz jednak, szerniało od zimna i wilgoci, dawno wygasłe palenisko stanowiło smutne świadectwo martwoty panującej w tym domu.

Szerokie schody o kunsztownie rzeźbionej balustradzie prowadziły łukiem na piętro.

- Zostawmy sobie sale recepcyjne na później i najpierw chodźmy na górę - zaproponował Jack i ruszył przodem.

Wielkie witrażowe okno z napisem „Armstrong” umieszczonym w centralnym punkcie zaparło Amandzie dech w piersiach.

- Ten dom powstał na zlecenie twoich przodków, prawda? - zapytała. - To znaczy, że od początku należał do twojej rodziny?

- Tak, przez ponad sto lat. A teraz ja przekażę go nowym właścicielom.

- Ale nazwisko w oknie pozostanie tu na zawsze.

- Nie sądzę. Kogo będzie stać na taki remont, szczególnie bez dochodów z farmy? Dach jest dziurawy, instalacja wymaga wymiany, a łazienki właściwie nie nadają się do użytku.

- W gazetach pisano, że Ashcroft zostało wpisane na listę zabytków. Nowy właściciel nie będzie mógł go rozebrać.

- Nie będzie takiej potrzeby. Dom sam się niedługo zawali. Na tym piętrze znajdują się sypialnie. Jest ich tu z dziesięć, ale najpierw pokażę ci pomieszczenia dla służby. Twoja panna McFadden właśnie tam musiała mieszkać.

- Mówiła, że miała pokoik na strychu.

Zwiedzanie zajęło im ponad godzinę i Amanda zauważyła, że z minuty na minutę Jack mówi o Ashcroft z coraz większym przejęciem. Sama była oszołomiona. Część piętra, przeznaczona kiedyś dla służby, była połączona z pomieszczeniami kuchennymi i spiżarnią

oddzielną klatką schodową. Liczne alkowy i mansardowe okna w sypialniach przydawały im niepowtarzalnego uroku, a rozmiary sali balowej wręcz rzuciły Amandę na kolana.

- Musi znaleźć się jakiś sposób, żeby uratować ten dom - przekonywała. - Po prostu musi!

- Sam tak myślałem. Kiedy tu wszedłem pierwszy raz po przyjeździe, uderzyły mnie wspomnienia z dzieciństwa, a jeszcze silniejsze było poczucie, że sam jestem częścią tego wszystkiego. Pomyślałem, że nie dopuszczę do dalszej dewastacji i znajdę sposób, żeby przywrócić rezydencji dawną świetność. Ojciec chyba od razu zorientował się, co mi chodzi po głowie, bo natychmiast poinformował mnie, że Ashcroft ma już nowego właściciela w postaci jakiejś firmy o nazwie Starbright International Limited. To był as, którego ukrywał w rękawie, żeby mnie zmusić do wyjazdu - wyjaśnił z goryczą.

Próbując zmienić temat na mniej bolesny, Amanda skierowała kroki ku kolejnym drzwiom.

- Jeszcze jeden salon? - zapytała, naciskając na klamkę.

- Nie wchodź tam - ostrzegł Jack, lecz zdążyła już wsunąć głowę do środka.

W fotelu siedział stary mężczyzna. Okryte kocem nogi wsparte miał o obity skórą podnózek. Sądząc z wielkiej ilości książek na sięgających sufitu półkach, pokój niegdyś pełnił rolę biblioteki, teraz jednak służył za sypialnię. Na stoliku przy łóżku pełno było pudełek i buteleczek z lekami. Obok stała butla z tlenem z podłączoną do zaworu maską.

- Kim pani jest? - spytał ze złością mężczyzna. - Mówiłem już, że nie życzę sobie, żeby jacyś dziennikarze pętali mi się po domu. Proszę natychmiast wyjść.

Jack objął Amandę ramieniem.

- To Amanda Morrison, tato. Jest moją znajomą. Pracujemy razem w szpitalu.

- Zabierz ją stąd. To przez ten cholerny szpital zaczęli nas teraz nachodzić. I to tylko dlatego, że jakaś geriatryczna ekszłużąca postanowiła urządzić tu urodziny! - John Armstrong zaniósł się głośnym kaszlem. Widząc, że zaczyna tracić oddech, Amanda odruchowo przysunęła mu do ust szklanekę z wodą. Starzec odepchnął jej dłoń i utkwiał w niej gniewne spojrzenie.

- Chyba cię już kiedyś widziałem?

- Nie sądzę, panie Armstrong.

- Doktorze Armstrong, jeśli łaska. Jesteś pielęgniarką?

- Tak.

- Więc musiałem cię spotkać w szpitalu... - Starzec z trudem łapał powietrze. Jack sięgnął po maskę z tlenem.

- Pomogę ci ją założyć, tato.

- Zostawcie mnie w spokoju. Zawołaj panią Bennett i idźcie stąd. I tak nie możesz mi pomóc, więc pozwól zadziałać naturze. Wszystkim to wyjdzie na dobre.

Jack zacisnął usta, kładąc maskę na kolanach ojca.

- Dobrze, pójdę po panią Bennett.

Amanda jednak nie ruszyła się z miejsca, z przerażeniem wpatrując się w Johna Armstronga. Jack poczuł, że ogarnia go gniew. Od początku podejrzewał, że zwiedzanie domu i odgrzewanie przeszłości nie wróży niczego dobrego. Był wściekły na ojca za to, że kazał mu odciąć się od korzeni, że umiera i dziedzictwo przodków niewiele go obchodzi. I na Amandę, bo zobaczyła jego ojca w tym stanie i co gorsza wystraszyła się tak, jakby zobaczyła ducha. Można by pomyśleć, że nigdy w życiu nie widziała umierającego człowieka. Nie zważając na jej obecność, wyszedł z pokoju.

Amanda próbowała się poruszyć, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Rzeczywiście, John Armstrong widział ją raz w szpitalu. Jeden jedyny raz. Nigdy nie poznała jego nazwiska i nie zdołałaby go rozpoznać, gdyby nie jego słowa. Został wezwany, bo akurat, z jakiegoś nie znanego Amandzie powodu żadnego innego lekarza nie było pod ręką. Ale jego słowa głęboko zapadły jej w pamięć. Te same słowa, które powtórzył dziś, po dziesięciu latach.

To on widział twarz jej córki, on trzymał ją na rękę, a Amandzie nawet nie pozwolił jej dotknąć. To on powiedział: „Nikt z nas nie potrafi jej pomóc, więc pozwólmy zadziałać naturze. Zabierzcie ją stąd”. I to on spojrzał wtedy na Amandę, która wciąż jeszcze drżała z bólu i przerażenia, i zapytał: „O ile wiem, nie jest pani mężatką, panno Morrison?”, a potem dodał: „Z czego wynika, że może nawet wyjdzie to pani na dobre”.

Jak bardzo go nienawidziła! Jego straszne słowa nie dawały jej spokoju. I nigdy w życiu nie daruje mu, że polecił wynieść jej dziecko, zanim mogła wziąć je na ręce. A teraz stoi przed nim i cała udreka, którą starała się tłumić przez lata, wraca ze zdwojoną siłą. Jeszcze przed chwilą miała nadzieję, że dzięki Jackowi zdoła wreszcie zapomnieć o przeszłości. Teraz to już niemożliwe. Zaczęła się cofać. Musi jak najszybciej wyjść z tego pokoju, z tego domu. Musi uciekać. Przed tym człowiekiem i, niestety, przed jego synem.

Jack ukazał się w końcu korytarza w towarzystwie służącej. Widząc wzburzenie na twarzy Amandy, chwycił ją za rękę.

- Co się stało? - Wyrwała dłoń i odsunęła się na bok, żeby przepuścić gospozię. - Cała się trzęsiesz. Powiedział ci coś przykrego?

- Tak, a właściwie nie. Muszę już iść.

- Pójdę z tobą.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie.

- Przepraszam cię za niego - powiedział, postępując krok do tyłu - ale po części muszę przyznać mu rację. Od czasu artykułu w gazecie bez przerwy kręcą się tu jacyś ludzie. Ojciec przez wiele lat trzymał się na uboczu, a teraz naprawdę jest już za słaby, żeby się publicznie pokazywać.

- Ale pewnie zainteresowanie mediów pomoże uratować dom - rzekła, zdoławszy się

już nieco opanować.

- I co? Przeznaczyć go na cele turystyczne?

- Skoro nie ma wyjścia... Pamiętaj, że to kawałek historii. Poza tym jest naprawdę piękny. Chyba warto go ratować.

- Cena i tak jest już zbyt wysoka - odparł zirytowany. - I w dodatku to mnie przyszło ją płacić.

- Może powinieneś przyjąć nieco mniej egoistyczny punkt widzenia?

- Egoistyczny?! - Ogarnęła go prawdziwa wściekłość.

- Nie jesteś jedyną osobą na świecie, która związana jest z Ashcroft. Ten dom po części należy do całej społeczności. Nie stoi na wyspie pośrodku oceanu.

- Byłoby lepiej, gdyby w ogóle nie istniał - zachnął się Jack. - I w ogóle nie powinienem był tutaj przyjeżdżać. Żałuję, że cię zaprosiłem.

- To prawda - zgodziła się. - Nie powinnam była tu przychodzić. Nie uda nam się uciec przed przeszłością. Dorothy miała rację. Nie można zacząć wszystkiego od początku, bo zostanie za dużo pustych miejsc.

- Co ty wygadujesz?

- To, co słyszałeś. - Skierowała się do wyjścia. - Mówię o nas. O tobie i o mnie. Nic z tego nie wyjdzie, Jack.

- Chcesz się rozstać? - Nie wierzył własnym uszom. - Tylko dlatego, że mój ojciec powiedział coś, co cię zdenerwowało?

- Nie tylko... - Amanda nienawidziła samej siebie za ból, który musiała mu sprawić.

- No cóż, nie będę cię dłużej zatrzymywał. Zresztą powinienem się był tego spodziewać. Ta rodzina, ten dom od dawna skazane były na zagładę. Będziesz szczęśliwsza beze mnie - powiedział, zatraskując za nią ciężkie frontowe drzwi.

- Jack, zaczekaj! - zawołała, lecz drzwi ani drgnęły. Poczwała strach przed ogarniającym ją poczuciem pustki.

Jak ma żyć bez nadziei na lepszą, wolną od bolesnych wspomnień przyszłość? A Jack? Nawet nie raczył jej do końca wysłuchać. Cóż, wszystko jest już jasne. Jest ulepiony z tej samej gliny co inni mężczyźni, z którymi miała dotąd do czynienia. Pojawiły się komplikacje, więc po prostu się wycofał. Co do jednego wszakże się nie mylił. Rzeczywiście, potrafi się obejść bez niego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przecucie, że wydarzy się coś strasznego, nie dawało Amandzie spokoju, choć zdawała sobie sprawę, że jej nastrój jest zapewne wynikiem zerwania z Jackiem. Unikanie wzajemnych kontaktów na terenie szpitala okazało się nader trudne, a ostatnie dni okazały się prawdziwym pasmem udręki. Co gorsza, nie opuszczała jej świadomość, że wszystko mogło potoczyć się całkiem inaczej.

Jack podszedł do niej w poniedziałek rano z uśmiechem, w którym dostrzegła wyraźną ulgę.

- Chciałem ci podziękować za przysługę - powiedział.

- Słucham? - Poczwała bolesny skurcz serca. Czyżby chciał ją poinformować, że i tak zamierzał zakończyć znajomość i zachowanie Amandy zwyczajnie ułatwiło mu zadanie?

- Kiedy wyszłaś, ogarnęła mnie prawdziwa wściekłość. Pognałem do ojca i zażądałem, żeby przyznał się, czym tak bardzo cię zdenerwował.

Amanda poczuła ciarki na plecach. Czy to możliwe, by John Armstrong po tylu latach ją pamiętał? Czyżby nie zapomniał okrucieństwa, z jakim potraktował ją samą i jej nie-szczęsne dziecko?

- I co ci powiedział?

- Oczywiście nic. Wybuchła straszna awantura, w czasie której po obu stronach padły słowa, o jakie ani siebie, ani jego nigdy bym nie podejrzewał. Krzyczałem, że go nienawidzę za całe zło, jakie wyrządził rodzinie, a mnie w szczególności. I za stan, do którego doprowadził nasz dom.

- Aż dziwne, że to wytrzymał - zauważyła cicho.

Nawet nie była pewna, czy odczuła ulgę. Może byłoby lepiej, gdyby Jack poznał prawdę. Czy udałoby się im wtedy naprawić szkody? Pewnie tak, bo Jack był w stanie zrozumieć jej nienawiść.

- Też byłem zdziwiony. A jeszcze bardziej zaskoczyło mnie to, co nastąpiło później. Tuż przed północą ojciec poprosił mnie do siebie. Chciałem odmówić, bo byłem już kompletnie spakowany i zamierzałem wyprowadzić się na dobre.

- I co?

Utkwił wzrok w ścianie.

- Wyobraź sobie, że rozmawialiśmy - powiedział przepelnionym czułością głosem. - Po raz pierwszy w życiu naprawdę rozmawialiśmy. Opowiadał o sobie takie rzeczy, o jakie nigdy bym go nie posądzał. Mimo bólu i wyczerpania nie przestawał mówić. Skończył dopiero po szóstej i wtedy poczułem, że nareszcie go poznałem. - Spojrzał Amandzie prosto w oczy. - Rozumiesz? Nareszcie go znam. I teraz potrafię mu wybaczyć, a pod pewnymi względami nawet go podziwiam.

Przełknęła ślinę. Szkoda tylko, że jej samej nie stać na podobną wspaniałomyślność.

- Zrozumiałem, że właśnie po to tu przyjechałem - ciągnął Jack. - Nie chciałem go nienawidzić nawet po śmierci. Musiałem zrozumieć, dlaczego nasze drogi tak bardzo się rozeszły, że nawet pozbawił mnie rodzinnego dziedzictwa. - Położył rękę na jej dłoni. - To tobie zawdzięczam, że w końcu go poznałem. A przecież już straciłem nadzieję. Chciałem się poddać i zabrać cię daleko stąd, uciec i zacząć wszystko od nowa. Ale teraz już nie muszę. Możemy tu pozostać i wspólnie budować przyszłość. Może nawet uda się nam odkupić dom, dać początek nowemu pokoleniu i przywrócić Ashcroft do życia?

Amanda robiła, co mogła, by ukryć ból, z jakim przyjęła jego wyznanie. Gdy usiłowała cofnąć dłoń, Jack spytał:

- O co chodzi, Mandy? Nie rozumiesz? Przecież to wszystko zmienia.

Właśnie. Wszystko się zmieniło. Czy może mieć teraz nadzieję, że Jack zrozumie jej cierpienie po stracie dziecka? Że uzna winę własnego ojca? Kiedy przyjechał do Ashburton, był pełen żalu i nienawiści. Konflikt z ojcem przez całe lata zatruwał mu życie. Teraz odnalazł spokój i Amanda zdawała sobie sprawę, jak wiele to dla niego znaczy. Czy może obarczyć go własnym bólem i zburzyć z takim trudem odzyskaną równowagę? Szukała odpowiednich słów, żeby coś powiedzieć, jednak zanim zdążyła się odezwać, Jack cofnął rękę.

- Może się mylę... - powiedział. - Może to niczego nie zmienia, bo jak widzę, nie jesteś zachwycona perspektywą wspólnej przyszłości.

- Jack, przepraszam. Ja... - Wciąż brakowało jej słów. Chciała prosić, żeby dał jej trochę czasu na uporządkowanie myśli, znalezienie wyjścia z pułapki uczuć, w której się znalazła. Jednak Jack całkiem opacznie zrozumiał jej słowa.

- Przepraszam? To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Nie potrzebuję twojego współczucia. Nie ma sprawy. Zapomnij o wszystkim, co mówiłem.

Zacisnęła powieki tak mocno, że nawet nie zorientowała się, kiedy wyszedł z pokoju.

Z pewnością nic gorszego nie mogło jej już spotkać, więc dlaczego prześladowało ją przeczucie, że prawdziwy dramat ma dopiero nastąpić? Może to z powodu Ralpha, który ostatnio bardzo się zestarzał. Od czasu owej pamiętnej nocy, kiedy Amanda i Jack zostali wezwani do wypadku, pies niechętnie opuszczał posłanie. Miska z jedzeniem już od dwóch dni stała nietknięta. Amanda postanowiła, że jeśli w ciągu najbliższych godzin nie nastąpi poprawa, wieczorem zawiezie psa do weterynarza.

Patrzyła teraz na własny ogródek ze szpitalnego balkonu. Ralph leżał nieruchomo na posłaniu, w pełnym słońcu. Amanda poczuła dławienie w gardle. Dlaczego pies nawet nie drgnie? Na szczęście wreszcie wstał, przeciągnął się i dopiero po chwili ułożył ponownie. Odetchnęła z ulgą i skarciła się w duchu za głupie myśli. I tak ma przecież mnóstwo powodów do zmartwienia.

Na przykład choroba Dorothy. Jeszcze w czasie weekendu staruszka zaczęła lekko gorączkować, a od wczoraj męczył ją suchy kaszel, ból głowy i łamanie w kościach. Nie miała apetytu i straciła zainteresowanie otoczeniem. Amanda odwołała wszystkie zaplanowane spotkania. Na wieść o chorobie cennej pacjentki, Kevin Farrow wpadł w prawdziwą panikę.

- To pewnie ta grypa. Dla osoby w jej wieku może okazać się bardzo niebezpieczna. Musimy coś zrobić, Amando.

- I tak robimy wszystko, co w naszej mocy. Dorothy była szczepiona przeciw grypie. To pewnie tylko lekka wirusowa infekcja, którą zdoła pokonać.

- Obyś miała rację. Do Nowego Roku zostało już tylko szesnaście dni. Zapowiedzieliśmy wielką konferencję prasową, żeby każdy, kto zechce, mógł zobaczyć jubilatkę. Musisz ją teraz otoczyć szczególną opieką.

- Przecież zawsze to robię - odparła z irytacją i udała się do pokoju staruszki. Niestety, temperatura znowu się podniosła, a puls pacjentki był mocno przyspieszony. Amanda otarła jej twarz wilgotną gąbką i wezwała Colina Garretta.

- Obawiam się, że to początek zapalenia płuc - powiedział lekarz, kiedy zbadawszy chorą, wyszedł z Amandą na korytarz. - W lewym szczycie słyhać szmery oskrzelowe. - Schował stetoskop do kieszeni. - Trzeba będzie pobrać krew do badania i zawieźć pacjentkę na rentgen. I od razu podać antybiotyki, jeszcze zanim dostaniemy wyniki. Proponuję na wszelki wypadek przenieść pannę McFadden na intensywną terapię i podłączyć do monitorów. Nie wiesz przypadkiem, jaki jest jej stosunek do reanimacji? Nie zgłaszała zastrzeżeń?

- Właściwie nie rozmawiałam z nią na ten temat. Dorothy świetnie rozumie, że niewiele czasu jej zostało. Ale jak na swój wiek, dotąd była w zaskakująco dobrej formie. No i kilka razy wspominała, że musi coś jeszcze zakończyć.

- Mówiła ci co? - zaciekał się.

- Nie. Pod pewnymi względami to bardzo skryta osoba, ale podejrzewam, że ma to jakiś związek z Ashcroft. Musiałeś słyszeć, że kiedyś tam pracowała.

Że też Armstrongowie zaważyli na życiu tylu osób! Ciekawe, czy jest ktoś, komu przynieśli szczęście?

- Obiecuję, że dołożymy wszelkich starań, żeby jej pomóc. Daj mi znać, gdyby coś cię zaniepokoiło.

- Oczywiście. Chyba większość pracy na dzisiaj mam już za sobą. Co prawda obie położne są na szkoleniu, ale w tym tygodniu nie powinniśmy mieć żadnego porodu, więc nie sądzę, że bym była potrzebna.

Jakże się myliła! Nie minęła godzina, a do szpitala zgłosiła się Charlotte Wallace w zaawansowanej ciąży. Bóle wystąpiły przedwcześnie, a bardzo powolne tętno płodu kazało

Amandzie zadzwonić po Jacka.

- Zauważyła może pani ostatnio spadek aktywności dziecka? - zapytał pod koniec badania.

- Od tygodnia jakby słabiej kopało. Ale myślałam, że po prostu rośnie i ma coraz mniej miejsca.

Amanda spojrzała na Jacka uważnie. W trzydziestym tygodniu ciąży ruchy nie bywają ograniczone.

- Wody jeszcze nie odeszły i nie nastąpiło rozwarcie, ale trochę niepokoi mnie stan płodu. - Jack starał się nie przestraszyć młodego małżeństwa. - Jeśli coś rzeczywiście nie jest w porządku, nie będziemy wstrzymywać akcji porodowej. Teraz jeszcze przeprowadzimy dodatkowe badania. Może się okazać, że konieczne będzie cesarskie cięcie.

Postanowił osobiście wykonać ultrasonografię.

- Nie jestem specjalistą, ale wydaje mi się, że mamy do czynienia z poważną wadą serca - wyjaśniał Amandzie szeptem, tak by ciężarna nie mogła go usłyszeć. - Z tego, co widzę, lewy przedsionek jest aplastyczny. Właściwie w ogóle się nie rozwinął.

- Takiej wady nie da się skorygować, prawda? - spytała ze smutkiem.

- Nie mogę mieć całkowitej pewności. Tylko specjalista mógłby postawić stuprocentową diagnozę. Ale jeśli się nie mylę i wada jest aż tak poważna, nie rozumiem, dlaczego nikt wcześniej jej nie wychwytał. - Pochylił się nad pacjentką.

- Kiedy ostatnio miała pani robione usg? - zapytał.

- W ósmym tygodniu, żeby potwierdzić ciążę. Lekarz mówił, żebym powtórzyła badanie w szesnastym tygodniu, ale nie udało mi się dojechać. Mieszkamy bardzo daleko, a akurat zepsuła się nam ciężarówka.

- Na badania kontrolne też pani nie chodziła?

- Nie. Czułam się naprawdę dobrze, więc myślałam, że wszystko jest w porządku. A potem zachorowałam na gripę. Myśli pan, doktorze, że coś jest nie tak?

- Podejrzewamy, że dziecko ma wadę serca. Łóżysko też nie wygląda najlepiej. W tej sytuacji wydaje mi się, że najlepszym wyjściem jest cesarskie cięcie. I to jeszcze dzisiaj. Obawiam się, że dziecko nie przeżyje naturalnego porodu.

Kobieta pobladła z przerażenia. W najgorszych snach nie przewidywała takiego rozwoju wypadków. Amanda serdecznie objęła ją ramieniem.

- Mogłabyś zawiadomić blok operacyjny? - zapytał Jack.

- I poproś Toma, żeby wykonał zewnątrzoponówkę. Ja będę gotowy za dwadzieścia minut.

Charlotte zacisnęła palce na dłoni pielęgniarki. -

- Bądź przy mnie w czasie operacji, proszę. Brian nie da rady, a ja tak się boję.

- Oczywiście. - Amanda zerknęła na Jacka, lecz ten udawał, że nie słyszy. - Muszę tylko do kogoś zadzwonić i zajrzeć do pacjentki. Ale obiecuję, że wrócę, jeszcze zanim przewiozą cię na blok.

Poszła do telefonu na dyżurce i wykręciła numer kliniki weterynaryjnej.

- Graham? Chciałam cię prosić o przysługę. Nie mogę wyjść ze szpitala, a trochę niepokoję się o Ralpa. Jakoś opadł z sił i w ogóle nie chce jeść. Mógłbyś go obejrzeć po drodze do domu? Zapasowy klucz jest pod doniczką. I wpuść go do środka, żeby się nie przeziębził.

- Oczywiście. Właśnie wychodzę z pracy. I nie martw się, zaopiekuję się twoim przyjacielem.

Amanda odłożyła słuchawkę i pobiegła na oddział intensywnej opieki zerknąć okiem na Dorothy. Otoczona monitorami kontrolującymi jej życiowe funkcje, staruszka zasnęła mimo utrzymującej się temperatury. Wyniki badań potwierdziły diagnozę Colina. W lewym płucu rzeczywiście rozwinął się stan zapalny. Pacjentka oddychała z trudem i Amanda zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Zapalenie płuc bywa wybawieniem dla wielu cierpiących, starych ludzi, ale Dorothy z pewnością nie chciała umierać. Gdyby jednak najgorsze miało jej nie ominąć, nie powinna być sama. Amanda zawiadomiła Colina Garretta, że wróci, gdy tylko będzie wolna, i zostanie z pacjentką na noc.

Sala operacyjna była ostatnim miejscem na ziemi, w którym chciała się teraz znajdować. Niepokoiła się o Ralpa. Graham dał jej znać, że zabiera psa do domu, a rano zawiezie go na badania do kliniki.

- Ma napięty brzuch - wyjaśnił. - Na wszelki wypadek zrobię mu usg.

Poza tym bardzo martwił ją stan Dorothy. Całe miasteczko żyło przygotowaniami do jej urodzin. Wielka uliczna zabawa, zaplanowana na sylwestrową noc, została oficjalnie nazwana urodzinowym balem Dorothy McFadden. Przedstawiciele lokalnych władz zamierzali wręczyć sędziwej jubilatce klucze do bram miasta. Jeden z największych parków miał zostać ochrzczony jej imieniem. Wielu mieszkańców żywiło nadzieję, że staruszka spędzi resztę życia w Ashburton. Jej śmierć stanowiłaby dotkliwy cios dla całej miejscowej społeczności, a Amanda, która znała Dorothy lepiej niż ktokolwiek inny i traktowała ją prawie jak własną babcię, zapewne najboleśniej przeżyłaby jej stratę.

Jej niechęć do asystowania przy zabiegu wynikała także z faktu, że to Jack miał przeprowadzać operację. Nie potrafiła traktować go obojętnie. Dręczyły ją wspomnienia wspólnie spędzonych, pełnych napiętości chwil oraz utraconej nadziei. Chociaż wiedziała, że oboje nie pozwolą na to, by kryzys w ich prywatnych stosunkach odbił się na poziomie ich pracy, to napięta atmosfera odebrała Amandzie satysfakcję, jaką zazwyczaj czerpała z powierzonych zadań.

Co gorsze, trudno było się spodziewać, żeby planowany zabieg zakończył się

sukcesem. Amanda zdawała sobie sprawę, że dziecko ma minimalne szanse na przeżycie.

Charlotte została już przygotowana do operacji. Jej mąż, młody nieśmiały farmer, był tak przerażony, że sam potrzebował pomocy, toteż zamiast niego to Amanda trzymała młodą matkę za rękę i dodawała jej otuchy.

Wezwano Colina Garretta, z nadzieją, że jego doświadczenie w pediatrii pomoże utrzymać dziecko przy życiu. Przenośny inkubator czekał w pogotowiu, a Robert Bayliss w razie potrzeby miał przewieźć noworodka do specjalistycznej kliniki w Christchurch. Niestety, gdy tylko Jack odciął pępowinę, stało się jasne, że dziecku nie można pomóc. Mimo wysiłków Colina po kilku minutach serce nowo narodzonego chłopczyka przestało bić. Przygnębiająca atmosfera nie uszła uwagi Charlotte.

- Pomóż mu, Amando, proszę.

Z medycznego punktu widzenia Amanda nie mogła już nic zrobić. Delikatnie umyła dziecko, usunęła rurkę, którą Colin próbował intubować małego, i odłączyła przewody kroplówki. Potem zawinęła drobne ciało w miękkie prześcieradło. Charlotte, która właśnie odwróciła głowę w jej kierunku, zaniósła się płaczem.

- Nie żyje? Moje dziecko nie żyje?

Jack popędzał Amandę do wyjścia, podczas gdy Tom wespół z asystującą pielęgniarką starali się pocieszyć nieszczęsną matkę. Amanda jednak zwlekała. Czy może zabrać dziecko, zanim Charlotte będzie miała okazję je zobaczyć? Widziała, że Jacka zaczyna ogarniać wściekłość. Wskazał jej głową drzwi.

- Nie będzie już nam pani potrzebna, siostró - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Charlotte? - Amanda uczyniła krok w kierunku pacjentki. - Chcesz, żebym zabrała stąd dziecko?

Kobieta zacisnęła powieki.

- Tak. Nie chcę go widzieć! Zabierzcie je stąd!

Jack zacisnął usta.

- Wyjdz! - syknął.

Amanda wiedziała, że nie ma wyboru. Zdruzgotana, z zawiniątkiem na rękach, wyszła na zewnątrz.

To była najtrudniejsza rzecz, jaką przyszło jej zrobić w życiu. Szła zimnym szpitalnym korytarzem prowadzącym do kostnicy. O dziwo, nigdy dotąd nie miała na rękach martwego noworodka. Może przez całe lata podświadomie starała się tego uniknąć.

Więc tak by się wtedy czuła... Odniosła wrażenie, że trzyma w objęciach lalkę. Przed oczami miała delikatną twarzyczkę z porcelany, jakby wierną maskę śpiącego noworodka, otulonego fałdami miękkiej tkaniny. Z drugiej strony było coś rzeczywistego w martwym niemowlęciu, które wciąż budziło w niej uczucia miłości i żalu.

Łzy spływały jej po policzkach, a w głębi duszy wiedziała, że teraz, w mroku szpitalnego korytarza, oplakuje utratę własnego dziecka. I nagle poczuła, jak opuszcza ją potworny ciężar, który nosiła w sobie od tylu lat.

Kiedy kilkanaście minut później siadała na fotelu przy łóżku Dorothy, była już prawie zupełnie spokojna.

Stan staruszki nadal nie uległ poprawie. Wciąż męczyła ją gorączka. Poruszała się niespokojnie, a z jej ust wydobywały się jakieś niezrozumiałe słowa. Oddychała szybko, z trudem łapiąc powietrze. Amanda poprawiła chorej poduszkę i zwilżyła jej twarz wilgotną gąbką. Kiedy przyłożyła jej chłodny stetoskop do piersi, pacjentka otworzyła oczy.

- Amanda? To ty? - wyszeptała cichutko.

- Tak, Dorothy. Nie martw się, zostanę przy tobie.

- Boli mnie. Nie mogę oddychać.

- Wiem, kochanie. Postaraj się zasnąć. - Poprawiła maskę tlenową na twarzy pacjentki.

Mijały kolejne godziny. Nieco po północy Dorothy nagle uniosła głowę na poduszce i zawołała ochryplym głosem:

- Oddajcie mi dziecko!

Amanda, której parę minut wcześniej powieki same się zamknęły, wyprostowała się gwałtownie. Nie całkiem jeszcze rozbudzona, miała wrażenie, że usłyszała wołanie Charlotte.

- Przyniosę ci je rano - obiecała, rozprostowując obolałe plecy i dopiero wtedy dotarła do niej świadomość, gdzie się znajduje. Spojrzała z przerażeniem na podopieczną, lecz staruszka, o dziwo, całkiem się uspokoiła.

- Dziękuję - szepnęła. - Tak bardzo chcę je zobaczyć. Jeden jedyny raz, i... - Atak suchego kaszlu nie pozwolił jej dokończyć.

- Dorothy? Co się dzieje?

Maska z tlenem zsunęła się z twarzy pacjentki i wisiała jej teraz pod brodą.

- Wiem, że obiecałam. - Chora patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. - Chcę go tylko zobaczyć.

- Chcesz zobaczyć synka, Dorothy? - zapytała Amanda łagodnie, sprawdzając puls pacjentki.

- Tak, tylko raz, proszę.

- Ile masz teraz lat? - Uścisnęła drżącą dłoń.

- Osiemnaście.

- A gdzie teraz jesteś?

- Jak to gdzie? W Ashcroft. - Chora odetchnęła z trudem i przymknęła powieki.

Amanda zerwała się na równe nogi. Czyżby to miał być koniec? Z przerażeniem spojrzała na monitor, lecz stwierdziła, że serce staruszki biło całkiem równo. Poprawiła więc chorej maskę z tlenem, dokładnie sprawdziła poziom antybiotyku w kroplówce i z powrotem

usiadła, próbując pozbierać myśli.

Nic dziwnego, że od początku Dorothy tak bardzo przypadła jej do serca, skoro obie przeżyły podobną tragedię. Poszczególne kawałki łamigłówki zaczęły układać się w całość. Więc to dlatego starszuszka wróciła do Ashcroft? Tu wydała na świat syna, którego nie pozwolono jej nawet potrzymać! Czyżby chłopiec umarł? Może Dorothy przybyła tu w poszukiwaniu grobu? A może został adoptowany? Może przyjechała odnaleźć dziecko, które spędziło życie gdzieś w tych stronach? Niewykluczone, że jej syn wciąż żyje. Amanda pochyliła się i odgarnęła kosmyki siwych włosów z czoła podopiecznej.

- Pomogę ci go odnaleźć, Dorothy - obiecała. - Będziemy szukać razem. Wiem, jakie to dla ciebie ważne.

Chora zapadła w sen. Amandzie trudno było stwierdzić, czy chrapliwe dźwięki dobywające się z jej ust oznaczały dalsze pogorszenie się jej stanu, czy też mogą być uznane za zwykłe chrapanie. Jednak przynajmniej na razie wskaźniki na ekranie utrzymywały się we względnej normie. Uspokojona, przymknęła powieki.

Obudziła się o świcie i przez chwilę rozkoszowała się ciszą. Nagle uświadomiła sobie złowieszcze znaczenie panującego wokół spokoju. Z przerażeniem spojrzała na chorą, która leżała bez ruchu, a na jej pobladłej twarzy malował się spokój. Amanda zerwała się z fotela. Dlaczego cała ta rzekomo niezawodna aparatura nie ostrzegła jej przed zbliżającą się katastrofą? Jak mogła zasnąć, skoro obiecała Dorothy, że wytrwa przy niej do końca?

Wtem w drzwiach pojawiła się uśmiechnięta twarz pielęgniarki.

- Cześć, Mandy.

- Dorothy... Ona... - Amanda nie była w stanie wykrztusić słowa. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

- Właśnie. Wygląda dziś o wiele lepiej, prawda? Saturacja rośnie z minuty na minutę. Już wcześniej miałam przekazać ci dobre wieści, ale nie chciałam cię budzić.

- Myślałam... - Amanda skierowała wzrok na monitory. Rzeczywiście, stan chorej w ciągu nocy bardzo się poprawił. Temperatura spadła, pacjentka oddychała równomiernie, a miarowy rytm serca nie dawał powodów do obaw.

- Rzeczywiście, byłam zmęczona - powiedziała słabym głosem. - To była ciężka noc.

- Mnie to mówisz? - Pielęgniarka spojrzała na zegarek. - Jeszcze godzina i idę do domu. Ale i tak wątpię, czy uda mi się przespać. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile zakupów zostało mi jeszcze na święta. A przecież dziś Wigilia.

Amanda starała się ukryć łzy wzruszenia, które nagle napłynęły jej do oczu. Już kilka tygodni temu kupiła prezent gwiazdkowy dla Dorothy. Małe połączane nożyczki w kształcie bociana wyglądały uroczo obok ślicznego naparstka w pudełku wyściełanym aksamitem. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy wręczy podarunek swej podopiecznej i na szczęście, los nie odebrał jej okazji.

- Gdyby Dorothy się obudziła, powiedz jej, że zajrzę do niej jeszcze przed śniadaniem. Muszę pójść na chwilę do domu, żeby się przebrać.

Ogromna choinka w szpitalnym holu mieniła się kolorowym blaskiem. W świetle świątecznych lampek tablica, na której odliczano dni pozostałe do końca roku, coraz to zmieniała barwę.

- Osiem dni - przeczytała Amanda.

Obok napisu przyczepiono wyciętego z tektury Świętego Mikołaja i niewielki transparent z życzeniami wesołych świąt. Jednak w tym roku Boże Narodzenie stanowiło jedynie preludium do obchodów milenijnych. Może to i dobrze. Amanda nie przepadała za świętami. Od lat specjalnie spędzała je w szpitalu, starając się stłumić w sobie przykre wspomnienia.

Tegoroczne Boże Narodzenie napawało ją szczególnym przerażeniem. Zerwanie z Jackiem uświadomiło jej, jak bardzo jest samotna, a krótki sen o szczęściu, zakończony jakże bolesnym przebudzeniem, dopełnił czarę goryczy.

Wiedziała, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Poczucie zadowolenia, które budowała od lat, zostało poważnie nadwątlone.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wiadomość, jaką otrzymała o dziesiątej trzydzięci w przedświąteczne popołudnie, wstrząsnęła nią do głębi.

Jak na prawdziwego przyjaciela przystało, przyjechał osobiście przekazać jej informację. Może dzięki temu cios był odrobinę mniej dotkliwy. Amanda przymknęła oczy, pozwalając słońcu osuszyć ślady łez, i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku szpitala. Gdyby dłużej została sama w zaciszu szpitalnego ogrodu, z pewnością zaczęłaby się obwiniać. Może zbyt ostatnio koncentrowała się na sobie? Może sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby wcześniej zaczęła działać?

Wiedziała, że aby nie pograżyć się w rozpacz, musi natychmiast zająć się pracą. Mimo że przychodnia została już zamknięta na okres świąt, a wszyscy pacjenci nadający się do wypisu wrócili na gwiazdkę do domu, w szpitalu było rojno jak w ulu. Rodziny i przyjaciele tłumnie odwiedzali tych wszystkich, którym choroba nie pozwalała być teraz wśród najbliższych.

W holu przy rejestracji członkowie kościelnego chóru właśnie szykowali się do występu. Pracownicy najlepszej cukierni w miasteczku wnosili tace pełne korzennych ciasteczek przeznaczonych dla personelu i pacjentów. Karen w stroju renifera z zaprzęgu Świętego Mikołaja mocowała do sufitu kolorowy łańcuch, który raz po raz wypadał jej z rąk i lądował na głowach chórzystów.

Amanda przeszła przez hol szybkim krokiem. Nie miała teraz najmniejszej ochoty na

świętowanie. Zjrzyj do Dorothy, a potem zamknij się w dyżurce i nadrobi zaległości w papierkowej robocie. Widok Jacka stojącego u szczytu schodów kazał jej zwolnić. Ponieważ wyglądał przez okno na ogród, Amanda miała nadzieję, że minie go niepostrzeżenie. Jednak w momencie, gdy jej noga sięgnęła ostatniego stopnia, Jack odwrócił się, a wyraz jego twarzy świadczył dobitnie, że też nie ma ochoty na żarty.

- Znasz żonę Grahama Bakera? - spytał zniecierpliwiony, wprawiając ją w kompletne osłupienie.

- Oczywiście. Kay pracowała u nas jako pielęgniarka do czasu urodzenia dziecka. Bardzo ją lubię. Właściwie to ja poznałam ją z Grahamem.

- To doprawdy wzruszające - zauważył ironicznie.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? Postąpił krok w jej kierunku.

- Nic. Chciałem tylko wiedzieć, czy wie o tobie i Grahamie?

- Oczywiście. - Amanda wzruszyła ramionami. - Zresztą, wtedy w ogóle się jeszcze nie znali.

- Kiedy?

- Kiedy chodziłam z Grahamem. Chyba o to ci chodzi? Przymrużył powieki.

- Miałem na myśli wasz obecny związek.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - zaczynała już tracić cierpliwość - ale zdecydowanie nie podoba mi się twój ton. A w ogóle, co ci do tego?

- Jak to co? Widziałem, jak się obejmujecie w ogrodzie. - Nie krył oburzenia. - To przez niego mnie zostawiłaś, tak?

- Co? To niesamowite... Widziałeś to, co chciałeś zobaczyć, Jack. - Pokręciła głową z niedowierzaniem i ruszyła przed siebie. Nagle zatrzymała się w pół kroku. - Nie obchodzi mnie, co sobie myślisz na mój temat - wycodziła przez zęby - ale nigdy ci nie daruję, jeśli do Kay dotrą jakiegokolwiek plotki. To małe miasteczko. Wszyscy się tu znają i nawet najbardziej absurdalne podejrzenia szybko się rozchodzą.

- Przecież widziałem cię w ramionach tego faceta.

- Owszem, przytulił mnie. I co z tego? To normalne między ludźmi, którzy się lubią, szczególnie kiedy jedno z nich straci kogoś bliskiego. - Zawahała się. - Na przykład przyjaciela.

- Przyjaciela? Tylko tyle dla ciebie znaczyłem? - zapytał już bez gniewu.

Amanda patrzyła przed siebie pozbawionym wyrazu wzrokiem. Jack na próżno próbował odnaleźć w nich choć ślad dawnego blasku.

- Mówię o moim psie. Dziś rano Graham stwierdził u niego nowotwór jelit. Choroba była tak zaawansowana, że musiał go uśpić.

- Mandy, tak mi przykro...

Zawładnęło nim poczucie winy. Dobrze pamiętał ból, którego sam doświadczył po

stracie Gypsy. Towarzyszka jego dziecięcych zabaw zginęła pod kołami samochodu, kiedy odprowadzała go z domu do szkoły. Jak w ogóle mógł posądzić Amandę o romans z Grahamem? A potem jeszcze wyobraził sobie, że on sam jest przyczyną jej przygnębienia, jakby poza czubkiem własnego nosa niczego nie potrafił już dostrzec.

To rozdzierająca tęsknota wzbudziła w nim irracjonalne poczucie zazdrości, kiedy zobaczył ją w ramionach innego mężczyzny. Teraz próbował zrozumieć, co się stało, i znaleźć sposób, by nakłonić ją do powrotu. Pragnął pokonać dzielące ich różnice, wziąć ją w ramiona i naprawić krzywdę, którą wyrządziły jego własne nierozważne słowa. Niestety, okoliczności były niesprzyjające. Amanda zamknęła się w sobie, starając się ukryć ból pod maską chłodnej obojętności i Jack nie był już pewien, czy kiedykolwiek zdoła pokonać dzielący ich mur.

- Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem wesoła nowina! - zaśpiewał chór i Amanda szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Uwagi Jacka nie uszła ironia zawarta w słowach kolędy. Smętnie popatrzył na ginącą w głębi korytarza postać.

Stan Dorothy na tyle się poprawił, że została przeniesiona z powrotem do swojego pokoju. Powitała Amandę z uśmiechem.

- Podobno siedziałaś przy mnie przez całą noc?

- Tak, choć muszę się przyznać, że i mnie zmorzył sen.

- To dobrze, przynajmniej trochę odpoczęłaś. Ja jestem dalej bardzo zmęczona.

- To normalne. Jeszcze przez kilka dni będziesz odczuwać osłabienie, ale na szczęście najgorsze już minęło.

Dorothy przymknęła oczy.

- Wiem i trudno mi w to uwierzyć. Widać los chce, żebyśmy jeszcze czegoś w życiu dokonała.

- Na przykład odnalazła syna, prawda? Staruszka natychmiast podniosła powieki.

- Skąd wiesz? Nikomu o tym nie mówiłam.

- W nocy miałaś bardzo wysoką gorączkę. Wydawało ci się, że jest 1919 rok i znajdujesz się w Ashcroft. Błagałaś, żeby pokazali ci dziecko. - Ucisnęła pomarszczoną dłoń. - Nie martw się, poza mną nikt cię nie słyszał. Doskonale rozumiem, co to dla ciebie znaczy.

Dorothy pokiwała głową.

- Wiem. Przecież sama też przez to przeszłaś. Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

- Czy twoje dziecko umarło? - Amanda z trudem opanowała drżenie ust.

- Nie. To był silny, zdrowy chłopczyk. Nigdy nie zapomnę, jak głośno krzyczał zaraz po urodzeniu.

- Chcesz mi opowiedzieć, co się stało?

Z głębi korytarza dobiegały przytłumione dźwięki kolędy. Przez chwilę Dorothy

przyglądała się Amandzie w zamyśleniu.

- Zamknij dobrze drzwi - powiedziała w końcu i upiła nieco wody ze szklanki, którą pielęgniarka przysunęła jej do ust. - Miałam wtedy siedemnaście lat. Zbliżało się Boże Narodzenie i w Ashcroft, jak co roku, odbywał się wielki bal. Na koniec wylądowałam w łóżku. W łóżku mojego chlebowodawcy.

Amanda oniemiała z wrażenia.

- To on był ojcem twojego dziecka? Staruszka skinęła głową.

- John Armstrong był wspaniałym mężczyzną. Nie wyobrażasz sobie, jaki był przystojny. I dumny. Z rodziny i ze swej pozycji. Ale serce Johna przepełnione było goryczą. Nie zaznał szczęścia w małżeństwie.

- Dlaczego?

- Jego żona nie mogła mieć dzieci, a on marzył o dziedzicu. Kiedy w końcu wyznałam mu, że jestem w ciąży, powiedział, że jeśli urodzi się chłopiec, to go zatrzyma. Do czasu rozwiązania nie wolno mi się było nikomu pokazywać, a pani Armstrong miała udawać, że jest w ciąży. Potem mieli odesłać mnie z powrotem do Szkocji. Ostrzegł, że jeśli się nie zgodzę na ich warunki, to wyprze się ojcostwa i zwyczajnie wyrzuci mnie na ulicę.

- Nie miałaś wielkiego wyboru.

- Nie miałam żadnego wyboru, szczególnie że od rodziny dzieliło mnie pół świata. John Armstrong potrafił podporządkowywać sobie ludzi. Tylko żona nie chciała mu ulec. Ich gospodyni, która była jedyną osobą dopuszczoną do tajemnicy, powiedziała mi, że pani Armstrong twierdziła od początku, że nie będzie wychowywać bękarta.

Dorothy była wyraźnie zmęczona i Amanda wiedziała, że powinna jej dać teraz odpocząć, jednak nie potrafiła powstrzymać się od zadania jeszcze jednego pytania.

- Czy John Armstrong, ten, który teraz mieszka w Ashcroft, to właśnie twój syn?

- Tego, moja droga, jeszcze nie wiem. Przyjechałam do Ashburton, żeby to ustalić, ale nie zgodził się na spotkanie. Potem zachorowałam i trafiłam do szpitala. Chciałam dowiedzieć się, kiedy dokładnie się urodził, czy jego ojciec ożenił się po raz drugi i miał więcej dzieci.

- Sądzę, że potrafię zdobyć te informacje od Jacka. Dorothy westchnęła.

- Miałam nadzieję, że John Armstrong sam spróbuje się ze mną skontaktować. Dlatego zgodziłam się na cały ten rozgłos. Myślałam, że może ktoś, na przykład ta stara gospodyni, powiedziała mu prawdę. Przez całe życie nie przestałam go poszukiwać. Miał znamię nad lewym okiem, bardzo wyraźne. Wiesz, że szukałam tego pieprzyka na twarzy każdego mężczyzny. Jestem pewna, że zawsze bym go rozpoznała, niezależnie od tego, ile miałby lat i jak by wyglądał.

Jeszcze jedne drzwi w szpitalu pozostały zamknięte dla kołędników. Gdy zniknęli w głębi korytarza, Amanda zapukała do nich i delikatnie nacisnęła kłamek.

- Jak się czujesz, Charlotte? - spytała cicho. Wyraz twarzy kobiety powiedział jej wszystko.

- Mogę podać ci jakiś środek przeciwbólowy, jeśli chcesz.

Pacjentka pokręciła głową i przymknęła oczy. Mimo że najwyraźniej nie miała chęci na rozmowę, Amanda usiadła na krześle przy łóżku i przez chwilę milczała. Wiedziała, co chce powiedzieć, szukała jedynie odpowiednich słów.

- Kiedy miałam osiemnaście lat, urodziłam dziecko - wykrztusiła w końcu. - Hannah żyła tylko kilka minut.

Charlotte uniosła powieki, lecz się nie odzywała.

- Nie pozwolono mi jej potrzymać, kiedy jeszcze żyła. Gdyby ktokolwiek zaproponował mi, żebym wzięła ją na ręce po śmierci, pewnie byłabym tak przerażona jak ty.

- Z trudem przełknęła ślinę. - Do wczoraj nigdy nie niosłam martwego dziecka. To była chyba najtrudniejsza rzecz, jaką przyszło mi zrobić w życiu.

- Przepraszam. - Oczy Charlotte wypełniły się łzami. - Nie powinnam była cię prosić, żebyś przy mnie została.

Amanda chwyciła ją za rękę.

- Nie przepraszaj. Było mi ciężko i płakałam przez całą drogę, ale zrozumiałam, że nic lepszego nie mogło mnie spotkać.

- Jak to?

- Właśnie mija dziesięć lat od chwili, kiedy straciłam córeczkę. Nigdy jej nie trzymałam na ręku, nie nadałam jej imienia, nawet nie pochowałam. Przez całe lata zastanawiałam się, jak wyglądała i co bym czuła na jej widok. - Ścisnęła dłoń pacjentki. - Twój synek jest piękny, Charlotte.

- Mówisz, że dziewczynka pozostała bez imienia, ale przedtem wymieniłaś imię Hannah.

- To było dużo później. Moja babcia była bardzo mądrą kobietą. Wiedziała, że dopóki mój ból nie przybierze realnych kształtów, nie zdołam się z niego wyzwolić. Namówiła mnie, żebym wybrała imię dla córeczki. Zamówiliśmy na jej pamiątkę kamień nagrobny na miejscowym cmentarzu. Chodzę tam co roku. Hannah urodziła się i zmarła w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Jutro przypada kolejna rocznica, ale tym razem, kiedy odwiedzę grób, nie będę już rozpamiętywać, jak mogła wyglądać i co bym czuła, gdybym ją wzięła na ręce. Bo teraz już wiem. Wyglądała tak jak twój synek.

Na chwilę zapadła cisza, aż w końcu obie kobiety rzuciły się sobie w ramiona i wybuchnęły płaczem, dzieląc ból, którego nikt inny, poza być może Dorothy McFadden, nie był w stanie pojąć.

- Mogłabyś... - wyszeptała Charlotte - mogłabyś mi go przynieść? Tylko nie podczas wizyty Briana. On by tego nie wytrzymał.

Amanda zrozumiała, co powinna zrobić. Znalazła wolną chwilę, żeby pójść do domu, i z dna szuflady wyjęła małą paczuszkę. Po kolei układała na łóżku maleńki, ozdobiony haftem kaftanik, udzierniany szydełkiem sweterek, włóczkowe buciki i czapeczkę, które jej babcia wykonała własnoręcznie w oczekiwaniu na prawnuczkę. Teraz nareszcie będzie mogła zrobić z nich użytek, szczególnie że Charlotte bała się poprosić męża o przyniesienie rzeczy dla dziecka.

- Nie zrozumie. Powie, że to chore. I może będzie miał rację... Może to naprawdę nienormalne?

- Ależ skąd! - zaprotestowała Amanda z przekonaniem.

- To całkiem naturalne. Pomogę ci.

Tak jak obiecała, wspólnie ubrały niemowlę w zaciszu pokoju Charlotte, z dala od zgiełku świątecznych przygotowań. Matka nadała chłopcu imię Benjamin Luke, a Amanda zrobiła zdjęcia.

- To niewiele, ale zawsze będziesz miała coś na pamiątkę - powiedziała.

Wreszcie Charlotte zapytała, czy następnego dnia będzie mogła jeszcze raz poprosić o przyniesienie synka.

- Chciałabym przekonać Briana, żeby też go zobaczył. Może ty mogłabyś z nim porozmawiać?

- Spróbuję - obiecała Amanda.

Co za sposób na święta! Cały czas w otoczeniu śmierci, westchnęła Amanda, otuliwszy Benjaminą w szpitalny kocyk, żeby ukryć go przed spojrzeniami ludzi kręcących się po korytarzu. Jednak Jack był jedyną osobą, jaką spotkała po drodze.

- Więc jednak chciała go zobaczyć? - zapytał łagodnie.

- Owszem.

- Właśnie idę sprawdzić, jak się czuje.

- Chyba nie najgorzej. W każdym razie o niebo lepiej niż przedtem.

- A ty, Mandy? - Przyjrzał się jej z uwagą.

Szczera troska, którą wyczuła w głosie Jacka, podziałała na nią jak kojący balsam.

- Jakoś dojdę do siebie - powiedziała po cichu. - Dziękuję za troskę.

Na końcu korytarza pojawiła się grupa odwiedzających, obładowanych prezentami i bukietami kwiatów. Amanda przytuliła zawiniątko do piersi i oceniła odległość dzielącą ją od drzwi prowadzących do podziemia szpitala.

- Lepiej już pójść - szepnęła, lecz nie ruszyła się z miejsca. Szukała słów, żeby wytłumaczyć Jackowi, jak głębokim wciąż darzy go uczuciem, poprosić, by dał jej trochę czasu na pogodzenie się z losem. A jeśli odmówi? Wciąż nie była w stanie wydobyć głosu, a ludzie idący korytarzem zbliżali się szybko.

- Wesołych świąt, doktorze.

Jack odwrócił wzrok od Amandy i spojrzał w kierunku mówiącego. Był to Donald Fisher, który wyciągał do niego rękę z olbrzymią butelką piwa ozdobioną kolorową kokardą.

- To dla pana.

- Dziękuję. Wypiję za pana zdrowie po dyżurze - obiecał Jack z uśmiechem. Gdy odwrócił się w stronę Amandy, stwierdził, że już jej przy nim nie ma. Uśmiech zniknął mu z twarzy tak szybko, jak się pojawił.

Zapowiadał się piękny letni dzień. Zrywając kwiaty w ogródku, Amanda wyobrażała sobie te wszystkie dzieci, które właśnie rozwijają gwiazdkowe prezenty. Wspaniała pogoda, pomyślała, żeby wypróbować nowe łyżworolki czy rower. Pustka spowodowana stratą Ralpha sprawiła, że czuła się dziś jeszcze samotniej niż zwykle i właściwie poczuła ulgę, kiedy wreszcie wyszła z domu.

Na cmentarzu nie było nikogo. Mało kto chce pamiętać o śmierci w pierwszy dzień świąt. Zatopiona w myślach, Amanda szła wąską ścieżką prowadzącą między grobami, aż w końcu zatrzymała się przy skromnym nagrobku z szarego granitu.

- Szczęśliwych świąt, babciu - szepnęła, układając na płycie bukiet kwiatów.

Tylko dzięki temu, że zaszła w ciążę, poznała własną babcię. Przez całe lata ojciec nie utrzymywał kontaktów z matką i Amanda wcześniej prawie jej nie знаła. Pochylona nad grobem Joan Morrison, wróciła myślami do własnej matki. Mimo że próbowała, nie potrafiła pomóc córce w trudnych chwilach. W końcu w ogóle przestały się widywać. Być może, pomyślała Amanda, nadszedł czas, żeby naprawić ten błąd. Skoro Jackowi udało się osiągnąć porozumienie z ojcem, może dla niej też nie jest jeszcze za późno?

Wyjęła z bukietu pojedynczą, jasnoróżową różę i udała się znajomą ścieżką w kierunku samotnie rosnącej brzozy, pod którą bieleł się odsunięty od innych nagrobek. „Hannah Morrison, 25 grudnia 1990”, głosił napis.

Położyła kwiat na trawie i popadła w zadumę. O dziwo, jej ból był dziś mniej dotkliwy niż zwykle. Pomyślała, że może dzięki Charlotte i jej dziecku zdoła wreszcie pogodzić się z losem. A skoro tak, upora się pewnie i ze śmiercią Ralpha, i z utratą Jacka.

A Jack właśnie zbliżał się w jej kierunku.

- Szedłem za tobą - wyjaśnił. - Patrzyłem przez okno na twój dom i widziałem, jak wychodzisz. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Nie, usiądź. - Wskazała mu stojącą nieopodal ławkę. Jego wzrok padł na napis na kamieniu.

- Była twoim dzieckiem?

- Tak.

- I żyła tylko jeden dzień?

- Niecałą godzinę. Nawet nie mogłam jej dotknąć.

- Dlaczego?

- W szpitalu zdawali sobie sprawę, że umrze, a poza tym wiedzieli, że nie jestem mężatką, więc nikomu na tym nie zależało. Powiedzieli, że może to i lepiej.

- Ale ty byłaś innego zdania?

Amanda odetchnęła głęboko. W powietrzu unosił się zapach świeżo ściętej trawy.

- Oczywiście. Nie pozwolili mi jej przytulić, nawet kiedy już nie żyła. Przez cały czas mnie to prześladowe. Właśnie dlatego taką wagę przywiązuję do tych spraw.

- Pewnie znienawidziłaś lekarza, który ci to zrobił?

- O tak, nienawidziłam go - przyznała, lecz chyba po raz pierwszy w życiu użyła czasu przeszłego. Czyżby rzeczywiście zaczynała odzyskiwać upragniony spokój?

Przez ułamek sekundy chciała powiedzieć Jackowi o wszystkim. Wyjaśnić, dlaczego tak wstrząsnął nią widok jego ojca. Jednak szybko zmieniła zdanie. Jeszcze za wcześnie na tak ciężką próbę.

- Święta to dla mnie trudny okres - rzekła z westchnieniem. - Czas rozmyślenia o śmierci, o końcu pięknych snów, o przemijaniu. A teraz doszła jeszcze śmierć Ralpha. - Roześmiała się gorzko. - Nawet obecne tysiąclecie patrzy już śmierci w oczy.

Jack mocno ścisnął jej rękę.

- Nieprawda. Nie możesz tak mówić. To początek nowego milenium, nowego roku, nowych marzeń. Nie wolno ci zapomnieć o marzeniach. Amando, życie toczy się dalej, właśnie tak, jak mówi Dorothy. Bo jeśli zatrzymasz się w miejscu, to cała wyszywanka twojego życia zmieści się na końcu naparstka.

- Boże, naparstek! Całkiem zapomniałam. Muszę wrócić do domu po prezent dla Dorothy. Chciałam jej go wręczyć jeszcze przed dyżurem.

- Chyba też już pójdę. Pani Bennett nie czuje się najlepiej, więc obiecałem, że zmienię ją przy ojcu. Mam nadzieję, że to nie grypa.

Dorothy była zachwycona podarunkiem. Czuła się już na tyle dobrze, że na lunch zjadła kawałek pieczonego indyka. Amanda pozostała w szpitalu prawie do wieczora, pozwalając panującej tu świątecznej atmosferze odpędzić przykre myśli.

Kiedy wreszcie skończyła dyżur, ze zdziwieniem stwierdziła, że dzień minął jej dość przyjemnie. Niestety, powrót do pustego domu nie napawał optymizmem.

Na szczęście nie przyszło jej zbyt długo martwić się samotnością.

Ledwie zdążyła pootwierać okna i przebrać w szorty i koszulkę, ktoś zapukał do drzwi. Był to Jack, który na rękach trzymał czarną, kudłatą kulę o błyszczących, bystrych oczach. Szczeniak miał przewiazaną wokół szyi wielką, różową kokardę.

- Wesołych świąt! - powiedział.

Amanda wyciągnęła przed siebie ramiona. Psiak był tak ciężki, że aż przysiadła.

- Dobry Boże, co to?

- Nowofunland. Kiedy powiedziałaś mi o Ralphie, skontaktowałem się z Grahamem Bakerem - wyjaśnił, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. - Poprosiłem, żeby wyszukał jakiegoś naprawdę niezwykłego szczeniaka. Ten maluch pochodzi z Auckland. Ma już prawie cztery miesiące i rzeczywiście jest wyjątkowy.

Amanda postawiła psa na podłodze. Ten natychmiast chwycił w zęby koniec wstążki zwisającej mu z karku i zaczął kręcić się w kółko. Przypominał teraz tańczącego niedźwiadka i był tak śmieszny, że Amanda wybuchnęła śmiechem.

- O, teraz o wiele lepiej. - Jack przyłożył jej dłoń do policzka. - Zaczynałem się obawiać, że już nigdy nie zobaczę twojego uśmiechu.

- Ostatnio niewiele miałam powodów do radości - zauważyła z westchnieniem.

Pies zapomniał na chwilę o wstążce i zaczął uganiać się za własnym ogonem.

- Popatrz na niego. To nowe życie. Nowy początek, Mandy. - Ujął w dłonie jej twarz. - Potrafisz zapomnieć o przeszłości? Zacząć od nowa?

- Mam nadzieję, że tak. W każdym razie bardzo bym chciała.

Oczy Jacka przybrały odcień granatu.

- Posłuchaj. Wszystkie moje marzenia dotyczą teraz ciebie. Myślisz, że my dwoje też potrafimy zacząć wszystko jeszcze raz?

Wzruszenie odebrało jej głos, więc tylko skinęła głową. Spojrzenie Jacka od razu stało się jaśniejsze, z twarzy zniknął wyraz napięcia.

- Bogu niech będą dzięki - odetchnął z ulgą i pocałował ją gorąco. Pocałunek ten nie tylko przypomniał jej wcześniejsze razem spędzone chwile, lecz stanowił także zapowiedź cudownej przyszłości. - Nie mogę dziś zostać - usprawiedliwił się. - Pani Bennett jednak ma grypę i muszę zająć się ojcem. Będę musiał znaleźć kogoś, kto mógłby ją zastąpić przez kilka dni.

- Nie martw się. Szpital jest prawie pusty, a w razie potrzeby zawsze możemy po ciebie zadzwonić.

- Dasz sobie radę sama? Może wolałabyś pojechać ze mną do Ashcroft?

- Nie! - Na samą myśl o tym, że znów miałaby stanąć oko w oko z jego ojcem, poczuła przejmujący chłód. Być może jej nienawiść nieco osłabła, ale wciąż jeszcze nie potrafiła mu przebaczyć. - Poza tym nie jestem już sama, prawda?

Oboje spojrzeli na imponujących rozmiarów szczenię, które właśnie zostawiło pokaźną kałużę na dywanie.

- Przepraszam, zapomniałem ci powiedzieć, że nie jest jeszcze nauczony czystości.

Amando? - spytał z niepokojem. - Nie przyniosłem go zbyt wcześnie, prawda?

- Nie. W samą porę. - Wspięła się na palcach i ucałowała Jacka w policzek. - Dziękuję.

- Aha, musisz go przecież jakoś nazwać. Zapytaj go, jak się nazywa.

Roześmiała się.

- Zaraz to zrobię. Nie gniewaj się, Jack, ale ja nie mam dla ciebie żadnego prezentu.

Przepraszam.

- Dałaś mi najwspanialszy prezent, na jaki mogłem liczyć. Nadzieję.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie potrzebowała dodatkowych dowodów, by mieć pewność, że John Armstrong jest synem Dorothy McFadden. Nie bardzo jednak wiedziała, co począć z tą informacją. Próbowała sobie wmówić, że może się myli, bo chyba nie widziała żadnego znamienia na twarzy starca. Nie zapytała też Jacka, czy ma stryja. Z drugiej strony, gdyby tak było, z pewnością sam by już jej powiedział. No i wszystkie daty urodzin pasowały do siebie jak ulał.

Zastanawiała się, czy Dorothy naprawdę chciałaby wiedzieć, że jej syn był alkoholikiem, który nie potrafił zerwać z nałogiem? Że nie zaznał szczęścia w małżeństwie, a własny syn przez długie lata pałał do niego nienawiścią. Że to ten sam człowiek, przez którego ona, Amanda, straciła zaufanie do mężczyzn, co o mały włos nie zaważyło na jej życiu.

Teraz John Armstrong był umierający. Dorothy sama nie czuła się jeszcze zbyt dobrze, więc szanse, by się spotkali, były właściwie zerowe. Czy stać ją na to, by tak przedstawić staruszce historię jej syna, żeby wyrobiła sobie o nim lepsze zdanie niż to, na które naprawdę zasługuje? Amanda nawet nie była pewna, czy ma ochotę spróbować. Jeszcze nie umiała mu przebaczyć. A skoro tak, czy ma prawo wiązać swoją przyszłość z synem tego człowieka? Tu odpowiedź była twierdząca, bo wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że jej miłość do Jacka jest na tyle silna, że przezwycięży i tę przeszkodę.

- Dowiedziałas się czegoś o ojcu Jacka? - zapytała Dorothy przy lunchu.

- Przepraszam, ale do tej pory tego nie zrobiłam. Jacka od dwóch dni nie ma w pracy. O ile wiem, jego ojciec zaraził się grypą i jego stan jest dość poważny.

Wyjaśnienia Amandy były tylko po części prawdziwe. Rzeczywiście nie spotkała się z Jackiem od świąt, ale wiele razy rozmawiali przez telefon. Tyle że zajmowała ich głównie przyszłość, tak jakby niepisane porozumienie zabroniło im wracać do przeszłości.

- Pojedziemy do Londynu? - zapytał drugiego dnia świąt. - Chciałabyś tam zamieszkać?

- A co zrobimy ze szczeniakiem? - zapytała, przyglądając się, jak jej nowy pupilek roznosi na strzępy dawne posłanie Ralpha.

- Powiedział ci już przynajmniej, jak się chce nazywać?

- Niezupełnie - zaśmiała się. - To potwór. Jeszcze nie widziałam, żeby jakiegokolwiek zwierzę miało w sobie tyle siły. Szarżuje jak byk na arenie. Może powinnam nazwać go Tornado?

- Daj mu na imię Jefferson.
- Dlaczego?
- Donald Fisher ma byka o takim imieniu.
- Mam nadzieję, że z wiekiem się ustakuje. Ale imię mi się podoba.
- A ja mam nadzieję, że z wiekiem nie nabędzie innych cech swojego imiennika.
- O co ci chodzi?
- Sama się domyśl. Przecież już tak długo mieszkasz na wsi, że powinnaś wiedzieć.
- Czy ty aby nie zaczynasz świntuszyć?
- Skąd. Ale jeśli tylko sobie życzysz, mogę ci teraz opowiedzieć w szczegółach, jak będzie wyglądało nasze następne spotkanie, oczywiście bez świadków.

Kiedy w końcu odłożyła słuchawkę, poczuła się szczęśliwa. To co, że nie ustalili jeszcze, gdzie będą mieszkać. Dopóki będą razem, miejsce nie ma dla niej najmniejszego znaczenia. Jednak wkrótce miało się okazać, że trochę mijają się z prawdą. Zdała sobie z tego sprawę następnego wieczoru, po telefonie Jacka.

- Nie zamierzasz wyjść za mnie tylko dla pieniędzy, co? - zażartował.
- Nie wiem. A jesteś bogaty?
- Całkiem, całkiem. Nie wydawałem dotąd zbyt wiele, tylko lokowałem wszystkie oszczędności na giełdzie i o ile się orientuję, z całkiem niezłym skutkiem. Nie starczy oczywiście na wszystko, ale będziemy mieli od czego zacząć.

- Zacząć co?
- Odbudowywać Ashcroft. Pomyślałem, że mógłbym odkupić dom.
Amanda oniemiała. Takiej ewentualności w ogóle nie brała pod uwagę.
- Ale przecież sam mówiłeś, że ci się tu nie podoba. Ograniczeni ludzie o ograniczonych umysłach. Pamiętasz? Miałeś się tu zanudzić na śmierć.

- Chciałem tak myśleć, ale rzeczywistość okazała się całkiem inna. Kevin Farrow mówi, że trudno mu znaleźć kogoś na moje miejsce.

- Ale... - Amanda nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła pokonać opór przeciw zamieszkaniu w posiadłości Johna Armstronga. - Podobno zniechęciłeś ten dom. Nie tak dawno twierdziłeś, że skazany jest na zagładę.

- A ty przekonywałaś mnie, że jest piękny i że na pewno istnieje sposób, żeby go uratować. Że wart jest każdej ceny.

- Owszem, ale w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że sam będziesz chciał pokryć koszty.

- Wyobraź sobie tylko, jak Jefferson mógłby tu hasać. I ilu dzieciom moglibyśmy zapewnić oddzielne sypialnie. Tchniemy w ten dom życie, wypełnimy go radością. Pamiętasz ten napis w oknie? Przecież to nasz dom...

Pamiętała ten napis znakomicie. I równie dobrze wiedziała, że miejsce Jacka jest w

Ashcroft.

- To nie byłoby łatwe - powiedziała ostrożnie.

- To prawda. Nawet jeśli starczy mi oszczędności, żeby odkupić dom, to na pewno zabraknie na remont. Nawet nie bardzo wiem, z kim mam na ten temat rozmawiać. Zgodnie z dokumentami nowym właścicielem Ashcroft jest jakaś agencja turystyczna. Starbright International, czy coś w tym rodzaju. Chyba zanadto popuściłem wodzy wyobraźni.

Amanda odetchnęła z ulgą. Przynajmniej na razie może zmienić temat.

- Jak się czuje twój ojciec? To rzeczywiście grypa?

Tak. Była to grypa, która w połączeniu z zaawansowaną chorobą nowotworową doprowadziła do zapalenia płuc. Dwudziestego ósmego grudnia John Armstrong został przyjęty do szpitala w stanie krytycznym. Nic nie mogło mu już pomóc i cały wysiłek lekarzy i pielęgniarek miał na celu oszczędzenie mu cierpień. Mimo że była na dyżurze, Amanda starała się umknąć kolejnego spotkania z chorym. Pogрузzyła się w papierkowej pracy, nie przestając myśleć o tym, że w tej chwili Dorothy McFadden dzieli od syna jedynie korytarz.

Mijały kolejne godziny, aż w końcu zdała sobie sprawę, że musi jeszcze raz stanąć twarzą w twarz z ojcem Jacka. Jeśli tego nie uczyni, nigdy się nie przekona, czy zdoła mu wybaczyć.

Jack siedział w fotelu obok łóżka ojca, a na jego twarzy malowało się tyle rozpacz, że Amanda poczuła bolesny skurcz serca. Choć od dawna zdawał sobie sprawę, że życie ojca dobiega kresu, sam koniec okazał się niezwykle bolesny. O dziwo, mimo ciężkiego stanu, pacjent zachował przytomność.

Na widok Amandy Jack podniósł się z miejsca, wyciągnął ręce i przytulił ją mocno do siebie.

- Cieszę się, że przyszłaś.

Od strony łóżka dobiegły przytłumione dźwięki. Chory najwyraźniej próbował coś powiedzieć. Jack wypuścił Amandę z objęć, podszedł do umierającego i zdjął mu z twarzy maskę z tlenem.

- Co mówiłeś, tato?

- Kto to jest?

- To Amanda Morrison. Pamiętasz? Amanda zbliżyła się do łóżka.

- Dzień dobry, doktorze Armstrong. Jak się pan czuje?

- Przecież widać, że umieram. Proszę stąd wyjść.

Spojrzała znacząco na Jacka i zrobiła krok w kierunku drzwi.

- Zaczekaj - powiedział nagle chory. - Jesteś wnuczką Joan Morrison, prawda?

- Tak.

- Miałem wrażenie, że już cię gdzieś widziałem - dodał, z trudem chwytając powietrze.

- Miałś dziecko.

Poczuła, że serce zaczyna jej bić jak oszalałe. Teraz już nie ma wyjścia.

- Owszem - przyznała cicho.

Widząc, że ojciec traci oddech, Jack chciał założyć mu maskę, lecz chory odepchnął jego dłoń.

- Czy po to tu przyszła? Przypomnieć mi, że ją zawiodłem?

Amanda przestraszyła się. Jak Jack zareaguje, kiedy dowie się prawdy? Może będzie zły, że ukrywała ją przed nim tak długo?

- Lepiej wyjdę - szepnęła.

Miała nadzieję, że chory nie powie nic więcej. Wtedy będzie mogła wyjaśnić Jackowi, co się stało, w bardziej sprzyjających okolicznościach. Jednak John Armstrong nie przestał mówić.

- Zawiodłem ją. Zawiodłem jej dziecko. Zawiodłem ciebie. - Łzy spływały po jego twarzy. - Tak mi przykro, synu.

- Wiem, tato. - Jack chwycił ojca za rękę.

- Nic więcej nie mogłem zrobić.

Mogłeś, pomyślała Amanda, z trudem opanowując gniew. Mogłeś, tylko nie chciałeś spróbować. Wpatrywała się w starca z nadzieją, że jeszcze raz uniesie powieki i powie coś, dzięki czemu zdoła mu przebaczyć. Jednak oczy już na zawsze pozostały zamknięte. Wtedy dostrzegła niewielką bliznę nad lewą brwią i domyśliła się, że to ślad po usuniętym znamieniu.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - szepnął Jack. - Bałaś się, że nie zrozumiem?

- Nie chciałam zniszczyć pojednania, jakie z takim trudem udało się wam osiągnąć.

Przecież był twoim ojcem.

Minęła dłuższa chwila, zanim się odezwał.

- Skończył studia w czasach, kiedy nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, żeby podać matce martwe dziecko. Pewnie myślał, że ci w ten sposób pomaga.

Amanda milczała, wpatrując się w postać na łóżku. To straszne zakończyć życie z poczuciem porażki. Zrobiło się jej żal Johna Armstronga i w tym samym momencie zrozumiała, że jeśli mu nie przebaczy, jej życiem też zawładną negatywne emocje. A tego właśnie bała się najbardziej.

- Chyba nareszcie zdołał odzyskać spokój - powiedział Jack, ocierając z twarzy Amandy łzy. W tej chwili jego oczy również stały się szkliste.

Potem wziął Amandę w ramiona i przez dłuższą chwilę oboje stali w milczeniu, dumając nad tym, jaki wpływ zmarły wywarł na ich życie, i nad tym, że wreszcie zdołali mu przebaczyć.

Minęła dziewiąta wieczór, kiedy dopełniwszy wszelkich formalności, Jack odprowadził Amandę do domu. W powietrzu unosił się odurzający zapach róż, tu i ówdzie

rozlegał się głos udającego się na nocny spoczynek ptaka.

- Muszę ci coś wyznać, coś, co dotyczy twojego ojca. Nie mogę się wyzbyć poczucia winy.

- Ja też.

- Dlaczego? - Czyżby wiedział, co zamierza mu powiedzieć?

- W chwili, kiedy ojciec umierał, nawet o nim nie myślałem. Zastanawiałem się tylko, jak bezsensowne okazało się jego życie i jaki marny spotkał go koniec. A potem myślałem już tylko o tobie. - Przytulił do ust jej dłoń. - Zrozumiałem, że tak bardzo cię kocham, że gdybyś ode mnie odeszła, pewnie skończyłbym tak samo jak on.

Amanda położyła mu głowę na ramieniu.

- To niesamowite, ale ja myślałam podobnie. I zrobiło mi się strasznie żal, że twój ojciec nie zaznał prawdziwej miłości. Dopiero kiedy to pojęłam, byłam w stanie mu przebaczyć. Poza tym zdałam sobie sprawę, że nie jest ważne to, jak mnie skrzywdził, tylko to, że pozwoliłam poczuciu krzywdy zdominować moje życie.

- Właśnie. W moim przypadku konflikt z ojcem stanowił doskonały pretekst, żeby się z nikim nie wiązać, nigdzie nie zapaść korzeni.

- Skoro o tym mowa, to pozwól, że teraz ja coś ci powiem.

- A to jeszcze nie wszystko? Może lepiej pójdziemy sprawdzić, czy Jefferson nie rozniósł domu na kawałki?

- Minuta nas nie uratuje. Czy wiesz, że John Armstrong był ojcem dziecka Dorothy?

- To chyba niemożliwe. Chyba był trochę za młody.

- Miałam na myśli twojego dziadka. To, że nosicie wszyscy te same imiona, jest naprawdę mylące.

- Rodzinna tradycja. Nie mamy wyjścia, musimy dać naszemu pierworodnemu na imię John.

- A może czas zapoczątkować nową tradycję?

- Na przykład jaką?

- Zacząć wydawać na świat córki...

- Świetny pomysł. Pierwszej damy na imię Joan, po twojej babci. Dzięki temu nie trzeba będzie zmieniać inicjałów na rodowych srebrach. - Nachylił się jej do ucha. - Chodź. Chyba powinniśmy wziąć się do dzieła.

- Nie, jeszcze nie teraz, kiedy twój ojciec...

- A nie sądzisz, że to najlepszy moment, żeby dać początek nowemu życiu?

Amanda była gotowa ulec pokusie, lecz najpierw musiała wyznać mu prawdę.

- Jack, ja naprawdę próbuję powiedzieć ci coś ważnego.

- Już dobrze, słucham. Tylko postaraj się streszczać.

- Jak sobie życzysz. Otóż Dorothy McFadden jest twoją babcią.

- Słucham?!

Jack w milczeniu wysłuchał jej opowieści.

- Zaczynam wszystko rozumieć - powiedział w końcu. - On o tym wiedział.

- Naprawdę? W takim razie szkoda, że nie wcześniej nie mówiłam. Mógłby poznać swoją matkę.

- Nie to miałem na myśli. Nie sądzę, żeby znał prawdę. Ale dobrze wiedział, że kobieta, którą uważał za matkę, nigdy go nie pragnęła, a wręcz nienawidziła. Z kolei ojciec widział w nim jedynie dziedzica. A jemu zależało na czymś więcej, dlatego poszedł na medycynę. Jednak po jakimś czasie sprawy majątku wessały go z powrotem. Opowiedział mi o tym wszystkim w tamtą pamiętną noc. Teraz rozumiem, że to możliwe. Miał rację. Matka nigdy go nie kochała.

- Bo nie był jej dzieckiem. Musiał mieć koszmarnie dzieciństwo.

- Nie nauczono go kochać nikogo ani niczego poza Ashcroft. Nie mam pojęcia, dlaczego mama się z nim związała, ale kiedy zrozumiała, że stanowi jedynie dodatek do posiadłości, zdecydowała się go opuścić. I zemściła się najdotkliwiej, jak umiała. Odebrała mu dziedzica.

- Więc przehulał cały majątek. Nic dziwnego, że przestało mu na czymkolwiek zależeć, a w końcu uzależnił się od alkoholu.

- Nie spodziewał się, że tu wrócę. Wręcz nie życzył sobie mojego przyjazdu, bo moja obecność uświadamiała mu własną klęskę.

- Dorothy pragnęła zobaczyć syna. Po to właśnie tu przyjechała. Mogłam jej to umożliwić, ale nie chciałam, bo go nienawidziłam. A teraz jest już za późno.

- Nic by z tego nie wyszło. Ojciec nigdy nie zaznał prawdziwej miłości. Obwiniałby Dorothy za swoje zmarnowane życie.

- Jednak przynajmniej ona zobaczyłaby własne dziecko.

- Więc może ucieszy się, kiedy pozna wnuka.

Radość Dorothy nie miała granic.

Amanda patrzyła na Jacka z podziwem. Co prawda uprzedziła staruszkę, że czeka ją nie lada niespodzianka, jednak nie była do końca pewna, jakie wrażenie zrobi na niej pojawienie się Jacka. Było ciepłe popołudnie dwudziestego dziewiątego grudnia i Dorothy siedziała na tarasie, wygrzewając się w słońcu.

Jack postanowił się sam przedstawić.

- Nazywam się Jack Armstrong - powiedział, ściskając drżącą, pomarszczoną dłoń - i o ile mi wiadomo, mam przyjemność poznać własną babcie.

Tulił ją tak długo, że Dorothy zdołała opanować pierwsze wzruszenie, po czym sam wyjął z saszetki z robótką wykrochmaloną chusteczkę i otarł łzy spływające po jej twarzy. A potem zaczął mówić. Mówił tak długo, aż Dorothy oswoiła się z obecnością wnuka i zalała

go lawiną pytań.

Jack wyjął z teczki dużą, żółtą kopertę wypchaną starymi fotografiami i wyblakłymi wycinkami z gazet.

- Spóźniłem się dzisiaj do pracy, bo pochłonęło mnie przeglądanie rodzinnych pamiątek. Przyniosłem zaledwie część, ale akurat te pochodzą z okresu, kiedy mieszkałaś w Ashcroft.

- To właśnie twój dziadek. - Dorothy z przejęciem sięgnęła po jedno z pożółkłych zdjęć, które Jack rozsypał przed nią na stole. - Dokładnie takim go zapamiętałam. Był niezwykle przystojny.

Amanda niepostrzeżenie opuściła taras. Jeszcze będzie miała okazję dowiedzieć się wszystkiego w szczegółach. Tymczasem Jack i Dorothy powinni zostać sami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kevin Farrow czuł się dzisiaj niezręcznie nie tylko z powodu trzyczęściowego garnituru, jaki przyszło mu włożyć. Właśnie miał przed sobą kilkudziesięcioosobową grupę Japończyków, którzy mimo tłumacza mieli ewidentne trudności ze zrozumieniem tego, co próbował im powiedzieć.

- Żadnych gości - oświadczył z emfazą. - Panna McFadden śpi. - Złożył dłonie i przytulił do nich policzek.

Obcojęzyczny gwar u stóp schodów stawał się coraz głośniejszy. Kevin rozejrzał się ponad głowami zebranych, a na widok Amandy i Karen, które z rozbawieniem obserwowały grupę z zacisza rejestracji, zaczął czynić błagalne gesty w ich kierunku. Lecz Amanda tylko bezradnie rozłożyła ręce.

- Co za cudowny szpital! Naprawdę fantastyczny! - Platynowa blondynka o wyglądzie lalki Barbie i silnym amerykańskim akcencie rozplýwała się w uśmiechach. - O, tam się rozłóżcie, żeby dobrze było widać bukiety - poleciała towarzyszącym jej kamerzystom i dźwiękowcom.

Amanda pokręciła głową. Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli. Kevin miał nadzieję, że dzięki jego staraniom Ashburton General zyska nieco rozgłosu, lecz rzeczywistość przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Dochodziła czwarta po południu i do początku trzeciego tysiąclecia zostało zaledwie kilka godzin.

Dojazd do szpitala był praktycznie zablokowany przez parkujące prawie wszędzie autokary. Mimo to kolejna ciężarówka zdołała się jakoś przecisnąć i do środka wniesiono kolejne worki prezentów i wiązanki kwiatów.

- Co my z tym wszystkim zrobimy? - Karen załamała ręce.

- Dorothy życzy sobie, żeby podarunki rozdysponować między sierocińce i domy opieki - oznajmiła Amanda. - Kevin załatwił na jutro transport.

Kolejna ekipa telewizyjna, tym razem chyba skądś z Europy, próbowała rozgościć się w pobliżu rejestracji. Na twarzy Amandy pojawił się wyraz totalnej dezaprobaty. Ciekawe, co by było, gdyby teraz wydarzył się nagły wypadek, pomyślała.

Jak na zawołanie, na schodach rozległ się okrzyk przerażenia i Japończycy jak jeden mąż zaczęli wycofywać się w kierunku i tak zatłoczonego holu. Czyżby Kevinowi puściły nerwy i powiedział coś nieprzyjemnego? Amanda dostrzegła na jego twarzy wyraz paniki.

- No nie! - jęknęła.

Co prawda Kevin dzielnie bronił dostępu na piętro, by przynajmniej tam praca mogła toczyć się względnie normalnie, lecz nie przewidział, że prawdziwe zagrożenie nadejdzie właśnie z góry.

Jim Cooper tym razem przeszedł samego siebie. Oto pojawił się za plecami dyrektora w stroju adamowym. Jak zwykle, miał na głowie kapelusz, a na nogi naciągnął ciężkie skórzane buciory, lecz poza tym nie miał na sobie nic. Stał na schodach, dzierżąc w dłoni nową elektryczną golarkę, którą ktoś z rodziny podarował mu na święta, i krzyczał:

- Czego się tak gapicie? Bezużyteczne nicponie! Nie widzicie, że się zbiera na deszcz?

Potem Jack podbiegł do nieszczęsnego pacjenta, ściągając po drodze z pleców białą, szpitalną marynarkę, i okrył go na tyle szybko, że nawet stojący najbliżej amerykańscy reporterzy nie zdążyli wykonać kompromitującego zdjęcia. Amanda odetchnęła z ulgą.

Zdezorientowani Japończycy wreszcie opuścili szpital pod wodzą własnego przewodnika. Na twarzach niektórych pań malował się wyraz zgorznienia. Lalka Barbie z przejęciem wskazywała na schody kamerzyście, który najwyraźniej tłumaczył jej, dlaczego zawiódł go refleks. Pękając ze śmiechu, Amanda skorzystała z okazji i ruszyła na górę.

- Chyba dobrze zrobiłoby ci coś mocniejszego - rzekła do Kevina, przystając obok niego.

Ten spojrział na zegarek.

- Żebyś wiedziała. Jeszcze dwie godziny, a potem na pewno nie będę sobie żałował.

- Służby porządkowe są w pogotowiu? - upewniła się.

- Tak. Zaraz wszyscy przeniosą się na ulicę. Zabawa zaczyna się o ósmej, a my zamkniemy szpital jeszcze wcześniej, zaraz po odwiedzinach, żeby nikt nie kręcił się koło Dorothy. Musi wypocząć przed jutrzejszą konferencją.

- Gdzie chcesz ją zorganizować?

- Tutaj, w holu. Stolarze przyjdą z samego rana, żeby wybudować podest, na którym ustawimy fotel dla naszej jubilatki. Nie masz dla mnie żadnych dobrych wieści?

- A na jakież to temat, mój drogi?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz.

- Ależ rozumiem cię świetnie. I muszę cię zmartwić. Niestety, nie planujemy żadnego porodu przynajmniej przez tydzień. Nie ma szans, żeby pierwsze dziecko w nowym

tysiącleciu urodziło się właśnie tutaj.

- Szkoda. Na całym świecie mnóstwo ludzi wyliczyło datę poczęcia tak, żeby rozwiązanie odbyło się w Nowy Rok, tylko nie tutaj. Że też na nikogo nie można liczyć.

- No wiesz! Naprawdę nie masz tego wszystkiego powyżej uszu?

- Ja? Nigdy w życiu. - Kevin poklepał Amandę po ramieniu. - Ale zaczekaj chwilę.

Doszły mnie słuchy, że ty i Jack zamierzacie się jutro pobrać. To prawda?

- Chyba tak. Jakimś cudem Jack zdołał przyspieszyć formalności. To będzie skromna uroczystość w przyszpitalnej kaplicy. Zaproszenie znajdziesz na biurku.

Zdążyli rozdać już właściwie wszystkie zaproszenia. Tylko jedno zostało wczoraj wysłane pocztą i Amanda nie traciła nadziei, że matka otrzyma je na czas i skorzysta z okazji, by odnowić stosunki z córką.

- Na którą zaplanowaliście ceremonię?

- Na szóstą po południu.

- A nie moglibyście jej nieco przyspieszyć? Tak żeby telewizja była jeszcze na miejscu.

- W żadnym przypadku. To jest prywatna uroczystość i niech ci przypadkiem nie przyjdzie do głowy, żeby ją wykorzystać do własnych niecznych celów. Chyba że chcesz, żebyśmy zaprosili Jima Coopera. Jeśli tak, to proszę bardzo.

Zgodnie z przewidywaniami Kevina w szpitalu panował spokój. Jack postanowił wykorzystać okazję i odwiedzić Dorothy.

- Zajrzę do babci. Idziesz ze mną?

- Oczywiście - ucieszyła się Amanda. Dorothy właśnie kończyła pić kakao.

- Jack, jak to miło, że o mnie pomyślałeś. I Amanda! Tak się cieszę, że was widzę. Ale - zmarszczyła czoło - dlaczego nie jesteście na zabawie?

- Woleliśmy cię odwiedzić.

- No i musimy oszczędzać siły na jutro. - Jack uśmiechnął się do staruszki porozumiewawczo.

Przez te kilka dni, które minęły od czasu pierwszej wizyty, poznali się na tyle dobrze, że teraz potrafili rozumieć się bez słów.

- Wpadliśmy tylko na chwilę - wtrąciła Amanda - bo ty też musisz odpocząć.

- Czuję się już o wiele lepiej. A doktor Garrett twierdzi, że mogę już zacząć obciążać stopę i chce wypisać mnie do domu.

- To wspaniale.

- I co chcesz dalej robić? - zapytał Jack.

- Daleko nie wyjadę. Nie teraz, kiedy odnalazłam wnuka.

- Mam coś dla ciebie - rzekła Amanda z lekkim zmieszaniem. - Tylko przepraszam, że tak późno. - Podała Dorothy kopertę z zaproszeniem. - Wiem, że będziesz zmęczona, po

przedpołudniowych przeżyciach, ale bardzo nam zależy, żebyś przyszła.

- Jesteś przecież jedyną rodziną, jaką mam - dodał Jack.

- A kiedy się pobierzemy, zostaniesz moją prawdziwą babcią.

- Za nic na świecie nie przepuściłabym takiej okazji. - Dorothy przyłożyła zaproszenie do serca. - Od dawna powtarzałam Amandzie, że w jej życiu brakuje kolorów. Nawet nie wyobrażacie sobie, jaką sprawiliście mi radość.

- Nasza pierwsza córka będzie miała na imię Joan, na pamiątkę babci Amandy. Za to drugą nazwiemy Dorothy. Co o tym sądzisz, Mandy?

- A co z inicjałami na rodowych srebrach?

Oboje wybuchnęły śmiechem, lecz staruszka się zasepiła.

- Kochani - powiedziała - tak mi przykro, ale nie mam dla was żadnego prezentu.

- Niech ci przypadkiem nie przyjdzie do głowy wydawać na nas pieniądze, babciu. - Jack pogroził jej palcem. - A poza tym, gdybyś potrzebowała pomocy... Mam na myśli pieniądze...

- O to, mój drogi, nie musisz się w ogóle martwić. Mimo ogromnych wysiłków pasierbowie nie zdołali mi wszystkiego odebrać. Mam pewien majątek, który mój pierwszy mąż zakupił na moje nazwisko, i o ile się orientuję, przynosi on całkiem przyzwoite zyski.

- Pierwszy mąż? - Amanda aż otworzyła usta ze zdumienia. - To ile razy wychodziłaś za mąż?

- Tylko dwa. Pobraliśmy się z Douglasem w 1921 roku i przeżyliśmy razem ponad trzydzieści szczęśliwych lat.

- Ale nie miałaś dzieci? - To nieprawdopodobne, pomyślała Amanda, że mimo wszystkich wywiadów, których udzieliła, Dorothy udało się zachować tyle spraw w tajemnicy.

- Nie, moja droga. Chyba coś poszło nie tak przy pierwszym porodzie. W drodze powrotnej do Szkocji ciężko zachorowałam. Na statku mówili, że o mało nie umarłam.

- Opowiedz nam o Douglasie. Czym się zajmował?

- Głównie inwestycjami. Uwielbiał wyszukiwać miejsca, które uważał za „potencjalnie obiecujące”, że użyję jego własnego określenia. A potem budował tam ośrodki turystyczne. Ludzie opowiadali mu o różnych ciekawych lokalizacjach, a my jeździliśmy, żeby je zobaczyć. Na przykład w 1950 roku przyплыliśmy do Nowej Zelandii i Douglas kupił piękną posiadłość nad morzem. Co to było za życie!

- A twój drugi mąż?

- Nie był już tak cudowny. Podejrzewam, że ożenił się ze mną głównie dla pieniędzy. A już na pewno o to tylko chodziło jego dzieciom. Ledwie umarł, zaczęły się domagać majątku. Pochowałam go ponad dwadzieścia lat temu i nie zamierzałam już więcej kusić losu. Było mi całkiem dobrze samej. Sporo podróżowałam. Wicie, kiedy się nie jest obar-

czonym rodziną, a do tego ma się trochę pieniędzy i nie stanowi dla nikogo ciężaru, człowiek czuje się wolny jak ptak.

- Ale teraz odnalazłaś rodzinę. I dla nas nigdy nie będziesz ciężarem - zapewniła ją Amanda, wymieniając znaczące spojrzenia z Jackiem, który natychmiast przyszedł jej w sukurs.

- Posłuchaj, babciu - rzekł poważnie. - Chcemy, żebyś z nami zamieszkała. Nie będziesz więcej sama podróżować.

Dorothy uniosła brwi ze zdziwienia.

- Obawiam się, że to niemożliwe - powiedziała.

- A to dlaczego? - zapytali jednocześnie.

- Bo mieszkanie Amandy jest za małe, żeby nas pomieścić.

- Nie będziemy mieszkać u mnie. Jack ma pewne plany.

Jack skinął głową.

- Może za wcześnie, żeby o tym mówić, bo nie wiem, czy nam się uda, ale zamierzamy odkupić Ashcroft od nowego właściciela. Przynajmniej sam dom.

- Ashcroft należy do Armstrongów - dodała Amanda. - Postaramy się, żeby znowu zagościło tam szczęście.

- Jak sądzisz, dlaczego się popłakała? - zapytał Jack, kiedy znaleźli się znowu w jego gabinecie. Usiadł wygodnie w fotelu, opierając stopy o blat biurka. .

- Sama nie wiem. Może wzruszyła się, bo wreszcie odnalazła rodzinę? Wnuka, któremu jej los nie jest obojętny.

- Ciekawe, czy dożyje narodzin prawnuczki?

- Mam nadzieję, że tak. Byłoby cudownie, gdyby dziecko przyszło na świat w Ashcroft, prawda?

- Tak, ale to wciąż niezbyt pewne, choć muszę się pochwalić, że odnotowałem pewien postęp. Mój prawnik odnalazł przedstawicieli Starbright International w Londynie. Ma się teraz dowiedzieć, kto jest właścicielem firmy.

- Chyba nie zależy mu szczególnie na domu, skoro nawet nie przyjechał go obejrzeć. Może nie zażąda zbyt wysokiej ceny?

- Miejmy nadzieję, bo inaczej do końca życia będzie nam lało się na głowę.

- A może byśmy... - Dzwonek telefonu zagłuszył słowa Amandy. Podniosła słuchawkę, a po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz zupełnego niedowierzania. - Nigdy nie zgadniesz, co się stało - wyjaśniła w odpowiedzi na pytające spojrzenie Jacka. - Wiozą nam kobietę, która rodzi.

- Nie żartuj. Wydawało mi się, że nie mieliśmy żadnej pacjentki spodziewającej się teraz dziecka.

- Bo nie mamy. Rodząca pochodzi z Christchurch. Jest w trzydziestym ósmym

tygodniu, ale czuła się tak dobrze, że zdecydowała się przyjechać do Ashburton na zabawę. Pewnie w ogólnym zamieszaniu zlekceważyła pierwsze oznaki zbliżającego się porodu.

- Kevin jest chyba w zмовie z samym Panem Bogiem - roześmiał się Jack.

- Właśnie. Ale biegnij na górę, to zobaczysz pokaz fajerwerków. Dochodzi północ, więc zaraz zaczną strzelać. Niczego równie pięknego nie uda ci się tu przeżyć. Gdybyśmy mieli jakiś problem, dam ci znać przez pager.

- Co ty wygadujesz, kobieto! Czy może być coś piękniejszego niż nasz miodowy miesiąc? Poza tym muszę zdobywać doświadczenie, bo skąd mogę wiedzieć, w jakich okolicznościach przyjdzie ci do głowy urodzić Joan?

Noworodek nie trafił jednak na łamy gazet. Dochodziła druga, kiedy wreszcie pojawił się na świecie. Przez chwilę wydawało się nawet, że mogą nastąpić komplikacje, gdyż niemowlę było niemrawe i sine z niedotlenienia. Amanda natychmiast zajęła się oczyszczaniem mu dróg oddechowych.

- Ma pani śliczną córeczkę! - zawołała w kierunku młodej matki, która aż usiadła na łóżku z przejęcia.

- Pokażcie mi! Dajcie mi ją potrzymać!

Zapadła chwila ciszy. Amanda robiła, co mogła. Na szczęście, kiedy dokładnie usunęła smółkę, dziewczynka otworzyła drobnutkie usta i zaniosła się płaczem.

- Dlaczego nie mogę jej dotknąć? - spytała kobieta histerycznie.

Widząc, że skóra dziewczynki przybiera normalny, różowy kolor, Jack delikatnie ułożył ją matce na brzuchu.

- Nie ma żadnych przeciwwskazań - powiedział.

- Stój!

Czując na ramieniu silny uścisk dłoni, Amanda zatrzymała się w pół kroku. Właśnie wracali do domu ścieżką prowadzącą przez wciąż jeszcze ciemny ogród i nieoczekiwane zachowanie Jacka nieco ją wystraszyło. Czyżby coś go zaniepokoiło? Może Jim Cooper znowu nawiał i włóczy się teraz między krzewami róż?

- O co chodzi, Jack? Wskazał palcem na zegarek.

- Oto wkroczyliśmy w trzecie tysiąclecie.

- Rzeczywiście. I to chyba ze trzy godziny temu.

- A końca świata jak nie było, tak nie ma.

- Nie byłabym tego tak pewna. Pamiętaj, że Jefferson został sam w domu.

- Kocham cię - szepnął Jack.

- Ja ciebie też. Szczęśliwego Nowego Roku.

- Tylko tyle? Nie mogłabyś złożyć mi życzeń w mniej tradycyjny sposób?

- Powinieneś wrócić do domu - powiedziała.

- Nie będziesz chyba tak okrutna? - Pocałował ją lekko w szyję.

- Przypominam ci, że jutro mamy się pobrać.

- Właśnie.

- Pan młody nie powinien oglądać narzeczonej w noc przed ślubem. To podobno przynosi pecha.

- Wiem. - Pociągnął ją za rękę w kierunku domu. - I dlatego przyrzekam solennie, że zamknę oczy.

Nikt nie czuł rano zmęczenia, mimo że nawet pacjenci spędzili lwią część nocy na tarasach, podziwiając pokazy sztucznych ogni. O szóstej rano do szpitala przybyli stolarze i zajęli się wznoszeniem podestu dla sędziwej jubilatki. Godzinę później pojawili się pierwsi pracownicy. Wszyscy z zainteresowaniem obserwowali przygotowania do konferencji prasowej. Kamery i lampy zostały już ustawione w wyznaczonych miejscach. Teraz rozstawiano wazony pełne świeżych kwiatów.

- Prawie jak w ONZ-ecie - skomentowała Karen.

Ze smutkiem spojrzała na miejsce po białej tablicy, na której co rano tak pieczołowicie zmieniała cyfry przez ostatnie miesiące dwudziestego stulecia. Kevin Farrow wodził po wszystkich niespokojnym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że ktoś pilnuje Jima Coopera? - mruknął.

- Nie obawiaj się. Córka Jima obiecała, że nie odstąpi go na krok. Oczywiście pod warunkiem, że dotrzymasz naszej umowy - rzekła Amanda.

- Nie martw się. Nie puszczę pary z ust.

Jack był na górze i jadł śniadanie w towarzystwie Dorothy.

- Wiecie, że oboje macie taki sam uśmiech - zauważyła Amanda, kiedy na jej widok podnieśli głowy.

Staruszka uśmiechnęła się radośnie.

- Kiedy odbiorę z hotelu drugą walizkę, pokażę wam zdjęcia. Jack jest naprawdę bardzo podobny do mojego najstarszego brata. A co ty tam masz, moja droga? - Wskazała na pudło, które Amanda właśnie postawiła na łóżku.

- Lokówkę, pędzelki, puder, szminkę i dokładnie wszystko, co potrzebne, żeby zrobić cię dziś na bóstwo.

- Wiecie, że zaczynam się denerwować - westchnęła staruszka.

- Nie martw się. Na pewno wypadniesz wspaniale. - Jack cmoknął ją w policzek. - Będę bardzo dumny z takiej babci.

Rzeczywiście, kiedy nadszedł czas rozpoczęcia konferencji, Dorothy całkowicie panowała nad sobą. Amanda sprowadziła ją powoli na dół i pomogła zająć miejsce w fotelu. Przypięła jej małe mikrofon do kołnierzyka ciemnobłękitnej sukni, ostatni raz poprawiła fryzurę i dyskretnie odsunęła się na bok, zajmując miejsce na schodach obok Jacka.

Nikt nie wiedział, kto pierwszy zaintonował „Happy Birthday”, które po chwili niosło

się gromkim echem po szpitalnych korytarzach.

- Jak się pani dziś czuje, panno McFadden? - zapytała później dziennikarka.

Dorothy głęboko odetchnęła.

- Przeżyłam równiusieńko sto lat - zaczęła nieco łamiącym się głosem - i wiercie mi, że dzisiejszy dzień jest najszcześniejszym dniem w moim długim życiu. - Otarła oczy koronkową chusteczką.

Amanda próbowała sobie przypomnieć, czy na opakowaniu widniało zapewnienie, że tusz jest wodoodporny.

- Czy jest coś szczególnego, co chciałaby pani nam dzisiaj powiedzieć?

- Owszem. - Dorothy kurczowo ścisnęła w palcach chusteczkę, lecz jej głos stał się znów donośny i opanowany. - Patrzyłam na własne życie jak na wyszywaną, jak na oddzielny obraz. Jednak w ciągu ostatnich lat zrozumiałam, że życie w odosobnieniu pozbawione jest znaczenia, a nabiera go dopiero w połączeniu z obrazami malowanymi życiem innych osób. Dlatego przyjechałam do Ashburton. I udało mi się. - Głos znów zaczął jej leciutko drżeć. - Odnalazłam tu wnuka, dzięki któremu mój obrazek nie należy już tylko do mnie. Stał się częścią o wiele większego dzieła. W ten sposób moje życie zyskało sens, którego dotąd na próżno szukałam.

Słowa Dorothy spotkały się z owacyjnym przyjęciem. W ogólnej wrzawie Kevin Farrow wprowadził na podest młodą matkę z dzieckiem na ręku.

Amanda roześmiała się w duchu, rozpoznając w kobiecie przywiezioną w nocy do szpitala pacjentkę. Mogła się spodziewać, że dyrektor nie przepuści takiej okazji.

Kiedy Kevin ułożył maleństwo na kolanach stulatki, wokół rozbłysły flesze aparatów fotograficznych. W ogólnym zamieszaniu uwadze reporterów na szczęście uniknął wątek odnalezionego po latach wnuka. Wzrok wszystkich skierowany był teraz na staruszkę i noworodka, najdoskonalszy symbol tego, co było, co jest, i ma jeszcze nastąpić.

Dorothy nie spuszczała rozrzuconych oczu z maleństwa.

- Będzie jeszcze szczęśliwsza, kiedy weźmie na kolana własną prawnuczkę - szepnął Jack do ucha narzeczonej.

Minęła prawie godzina, zanim Amanda i Jack zdołali bezpiecznie doprowadzić Dorothy w zacisze jej pokoju. Pomogli jej położyć się na łóżku i właśnie zbierali się do wyjścia, kiedy jubilatka powstrzymała ich gestem dłoni.

- Musisz przecież odpocząć - zaprotestowała Amanda. - Pamiętaj, że czeka cię jeszcze nasz ślub.

- Oczywiście. Ale jest coś, z czym nie mogę dłużej czekać. Jack, czy mógłbyś mi podać torebkę? Leży w szafce, na dolnej półce.

Dorothy była tak zmęczona, że z trudem zdołała odpiąć zatrząsk wysłużonej torby. Ze

środka wyjęła sporych rozmiarów kopertę.

- Poprosiłam, żeby przyniesiono mi ją dzisiaj z hotelowego sejfu. To mój ślubny prezent dla was.

- Ale przecież mówiliśmy, żebyś tego nie robiła. Dorothy uśmiechnęła się z czułością.

- Wspominałam wam o moim pierwszym mężu, prawda? Jack kiwnął głową.

- Douglas był właścicielem całkiem sporej firmy - oznajmiła. - O nazwie Starbright International.

Amanda oniemiała z wrażenia.

- Wiele lat temu przyjechaliśmy do Nowej Zelandii, żeby kupić posiadłość w zatoce, ale wiedzieliśmy, że jest jeszcze do sprzedania farma na południu wyspy. Douglas nie był nią szczególnie zachwycony, lecz ja nalegałam i w końcu nabył ją dla mnie. Kupiliśmy całą posiadłość oprócz domu, ale zastrzegłam, że kiedy zostanie wystawiony na sprzedaż, będę miała prawo pierwokupu. Mój mąż nigdy się nie dowiedział, dlaczego tak bardzo zależało mi akurat na tym miejscu. Powiedziałam mu tylko, że kiedyś tu pracowałam.

Dorothy sięgnęła po szklanekę wody stojącą na szafce i zwilżyła spierzchnięte wargi.

- Kiedy dziesięć lat temu dowiedziałam się, że dom jest na sprzedaż, kazałam go wykupić, lecz zastrzegłam, że dotychczasowy właściciel ma pozostać w nim do końca życia. Chciałam utrzymać Ashcroft w jego rękach, bo już wtedy podejrzewałam, że jest moim dzieckiem. - Drżącą dłonią podała Jackowi kopertę. - Ashcroft należy teraz do was. Zarówno rezydencja, jak i farma. O ile wiem, była wzorowo prowadzona i przynosi całkiem niezły dochód. W każdym razie powinniście mieć dość pieniędzy na remont. Ten dom należy do Armstrongów.

- I do ciebie - dodał Jack. - Gdyby nie ty, nie byłoby już ani jednego Armstronga na świecie. Tobie zawdzięczam własne istnienie.

Dorothy przymknęła powieki.

- Od dzisiaj stanowimy części tego samego obrazu. Dla mnie to prawdziwy powód do dumy - oświadczyła, a na jej twarzy malował się wyraz szczęścia.

